ROK IX. LIPIEC—1909 ROK. TOM VII (XCII).





Dzwonek Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą. — Filia w Warszawie: Marszałkowska Nr. 101.

1909.

Prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“ mogą nabywać po cenach zniżonych niżej wymienione dzieła:

Obrazy historyczne w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze — broszurowane 50 kop., w ozdobnej oprawie 1 rb. (za przesyłkę dopłaca się 20 kop.).

Wizerunki Dostojników duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze—50 kop. (za przesyłkę osobno 17 kop.).

Książka do nabożeństwa, zawierająca piękne dawne modlitwy, które nasi dziadowie i pradziadowie odmawiali—w oprawie ozdobnej w płótno, ze złoconymi brzegami 75 kop., w oprawie ozdobnej w skórkę ze złoconymi brzegami 1.00 kop., w oprawie skórkowej miękkiej 1.25 kop., w oprawie wytwornej, fantazyjnej 1 rb. 75 kop. (za przesyłkę tej książki dopłaca się 30 k.).

Z życia Adama Mickiewicza—popularny życiorys wieszcza, przez Stefana Gębarskiego, z portretem i w oprawie 80 kop. (z przesyłką pocztową).

W Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego“ są nadto do nabycia:

Karty pocztowe kolorowane z widokami Jasnej-Góry — sztuka 5 kop., serya z 12 kart 50 kop., z przesyłką 70 kop. Album z 12 kart w okładce tekturowej 55 kop., z przesyłką 70 kop.

Przewodnik illustrowany po Jasnej-Górze w Częstochowie. — Część I z planem Jasnej-Góry, str. 134. illustracyj 60, 30 kop., na lepszym papierze 40 kop. Część II. **Skarbiec Jasnogórski**, 50 illustracyj, 25 kop., na lepszym papierze 30 kop. (Za przesyłkę jednej części dopłaca się 15 kop.). Obydwie części z przesyłką 80 kop., na lepszym papierze 95 kop.

Święta Barbara — książka do nabożeństwa dla górników, w oprawie płóciennej 50 kop., w oprawie skórkowej 70 kop. (za przesyłkę 20 kop.).

Dobry katolik—katechizm Rzymsko-katolicki, wraz z historyą Świętą, radami dla parafian i elementarzem, na którym tak dziecko, jak i dorosły może w krótkim czasie i z łatwością nauczyć się czytać, z illustracyami 12 kop., z przesyłką 16 kop.

Dwór Niebieski, czyli modlitwa ś-tej Luitgardy—8 kop., z przesyłką 10 kop.

Ks. Augustyn Kordecki—życiorys wiekopomnego obrońcy Jasnej-Góry od Szwedów, z przesyłką 5 kop.

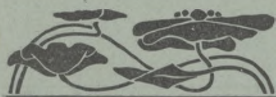
Pamiętniki Majora — I. F. Kierzkowskiego — 1 rb.

Obraz kolorowy, przedstawiający ołtarz z cudownym obrazem Matki Boskiej w kaplicy Jasnogórskiej 24×18 cali, cena 40 kop.

Portret ks. Augustyna Kordeckiego 30×22 cali, cena 30 kop

Widok Jasnej-Góry w kolorach 28×20½ cali, cena 40 kop.

Za przesyłkę wraz z opakowaniem jednego lub trzech obrazów dopłaca się 40 k.



Przy zamawianiu kilku książeczek naraz dopłaca się za przesyłkę po 20 kop. do każdego rubla lub części rubla.

Rok 1909.



„Dzwonek Częstochowski“

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Ośm lat upływa od chwili, gdy po raz pierwszy stanęliśmy przed Wami, **Czcigodni i Szanowni Czytelnicy i Przyjaciele** „Dzwonka Częstochowskiego“. Zaofiarowaliśmy Wam pracę i trudy,— rozpaliliśmy pochodnię, by rzucić ciepły, dobroczynny promień światła,— by walczyć z ciemnotą. O ile nam sił starczyło, staraliśmy się wytrwać na posterunku. „Dzwonek Częstochowski“ poszedł po miastach i siołach, a wszędzie niósł słowa prawdy, nauki i zachęty do miłości Boga i bliźniego. Pomimo burz, jakie nad krajem naszym nieszczęsnym szalały, patrzeliśmy z gorącą wiarą w lepszą przyszłość, ufni w pomoc Maryi, której Imię Przenajświętsze wypisaliśmy na swoim sztandarze. I pod tem godłem wytrwaliśmy. Mając przed oczyma jasną swą Gwiazdę przewodnią, pracowaliśmy na chwałę Imienia Maryi i dla dobra naszych współbraci. Staraliśmy się „Dzwonek Częstochowski“ rozwijać i udoskonalać. W pracy tej pragniemy wytrwać i nadal.

W roku 1909, jak i za lat poprzednich zachęcać będziemy do szlachetnych czynów, do solidarności bratniej, przedstawiając piękne przykłady poświęcenia dla Wiary i Ojczyzny i wzory godne naśladowania. Imieniem Maryi zagrzewać będziemy do walki z największym wrogiem ludzkości, **z ciemnotą i niewiarą.**

W tym celu, a także dla złożenia hołdu Królowej Niebios, Matce Boskiej Częstochowskiej drukować będziemy:

„Maluczcy i wielcy czciciele Maryi, Matki Boskiej, w pochodzie wieków“.

Zasłużony pisarz, Józef Grajnert dał nam bardzo cenną pracę:

„Sławni w dziejach naszych obrońcy Jasnej-Góry w Częstochowie“.

W dziale tym drukować także będziemy wielce wartościową pracę Marcina Kopca: **„Król Jan Sobieski na Śląsku“.**

W codziennym pacierzu prosimy: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“. I Stwórca miłosierny nigdy nie odrzuca prośby łaknącego, bo jest Ojcem wielkich i maluczkich, mędrców i prostaczków. Wszystkim bez wyjątku zostawił Słowo Boże, Ewangelią, którą Chrystus Pan, Bóg-Człowiek swem życiem i czynami wypisał na kartach dziejów ludzkości. Ta Ewangelia, to chleb powszedni dla duszy. Dlatego więc dajemy w „Dzwonku Częstochowskim“ wyjątki z **„Żywota Pana Jezusa“.**

W dalszym ciągu głosić będziemy chwałę Maryi, informując Czytelników naszych o wszystkiem, co dotyczy tej chwały tak w całym świecie, jak i w sercu naszego kraju, na Jasnej-Górze w Częstochowie.

By podnieść ducha, który często w tych ciężkich czasach słabnie, wywoływać będziemy z cieniów przeszłości spiżowe postacie bohaterów naszych. Opisywać będziemy miejscowości drogie sercu Polaka. Dla umocnienia w Wierze wskazywać będziemy postacie rycerzy Chrystusowych, męczenników i bojowników za Wiarę naszą świętą.

W dziale tym, obok innych, mamy przygotowaną nader zajmującą pracę illustrowaną, p. t.: **„Pierwszy Polak męczennik za Wiarę świętą w Japonii“.**

A także piękną pracę illustrowaną: **„Święty Piotr Klawer, Apostoł murzynów“.**

Prace te wzruszą najzatwardzialsze serca i pobudzą do miłości Boga i bliźniego.

Będziemy nadal rozwijać bogaty dział pogadanek naukowych z dziedziny odkryć, wynalazków, hygieny i wszelkich gałęzi wiedzy. Będziemy informować Czytelników naszych o wszystkiem, co się dzieje na szerokim świecie tak pod względem politycznym, jak i społecznym.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo „Dzwonka Częstochowskiego“. Również błogosławieństwa „Dzwonkowi Częstochowskiemu“ udzielił i Ojciec Święty Pius X.

W dziale powieści i podróży pomieścimy utwory, które najobojętniejszego nawet czytelnika zaciekawić potrafią, a mianowicie: **„Podróż do wnętrza ziemi“**, oraz drugą, niemniej zajmującą i pouczającą: **„Zimowanie wśród lodów“.**

Dla żądnych wrażeń z podróży po zamorskich krajach, podamy opowiadania illustrowane, p. t. **„Przygody wychodźcy polskiego w krainie Indyan czerwonoskórych“.**

W dziale wychowania szkolnego i domowego pod tytułem: **„Z domu i ze szkoły“** damy obraz najnowszych zdobyczy wiedzy i umiejętności w tym kierunku. Znajdą tu rodzice i wychowawcy najniezbędniejsze wskazówki jak wychować nowe pokolenie.

W powieści Bolesława Biernackiego **„Kościuszko“**, znajdziemy barwny obraz odrodzenia ojczyzny naszej z przed wieku; zaś w opowiadaniu Stefana Gębarskiego, p. t. **„Nad Gopłem“**, dzieje męczeństwa i odrodzenia polskiego wśród odwiecznej walki z zaborem niemieckim.

Wiedząc, jak pożądaną jest dla każdego dobra humoreska, anegdota, żart rozweselający, rozszerzymy i urozmaicimy ten dział, podając stale tego rodzaju utwory, p. t. **„Ze skarbca humoru polskiego“.**

Chociaż, powtarzając za poetą: *„Za swą pracę nie chcemy wawrzynów, lecz w własnem sumieniu nagrody“*, to jednak musimy wyznać, że wielką pociechą dla redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ jest uznanie, jakiego dowody odbieraliśmy i odbieramy od wszystkich warstw społeczności polskiej. Papieże: ś. p. Leon XIII i obecnie panujący na Stolicy Świętej Pius X udzielili „Dzwonkowi Częstochowskiemu“ błogosławieństwa.

Również Biskupi, kapłani i świeccy ludzie wyrażali nam niejednokrotnie swe uznanie. Powtórzymy w całej rozciągłości list Jego Ekscelencyi ks. Biskupa Zdzitowieckiego, przysłany nam po objęciu przez Niego rządów.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim“, za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego“.

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego“ życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.



Medal złoty, którym nagrodzono „Dzwonek Częstochowski“ na kongresie katolickim w Fryburgu.

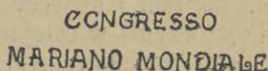
Wszystkim prenumeratorom „Dzwonka Częstochowskiego" ofiarujemy **wspaniałe premium,** które będzie ozdobą prawdziwą każdego katolickiego domu; będzie to kopia pięknie kolorami wykonana **„Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej"**.

Mamy nadzieję, że „Dzwonek Częstochowski" będzie nadal, jak i za lat poprzednich, mile przyjęty i pożądany w każdym domu polskim, gdzie drogą jest pamięć tradycyj narodowych i tego miejsca świętego, jakiem jest Jasna-Góra, będzie pożądany w każdej rodzinie, gdzie **biją serca** polskie i umiłowaną jest **cnota i prawdziwa oświata.**

Na kongresie katolickim we Fryburgu nagrodzono redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego" medalem złotym, a na kongresie Maryańskim wszechświatowym w Rzymie biskupi i kapłani wyrażali publiczne pochwały dla naszej pracy.

Cinquantenario del dogma dell'Immacolata Anno MCMIV
Comitato Centrale (Roma) Circolo Immacolata
Via Torre Argentina 76

Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.



G. GROS

Do Szanownej Redakcyi
Dzwonka Częstochowskiego.

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie wszystkie [illegible] wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik przy kościele Matki Boskiej Śnieżnej: Ksiądz Głowieński w sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Ksiądz Arcybiskup Symon i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi. Najlepszym w naszym kraju.
Uczestnik Kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Opłata za „Dzwonek Częstochowski" wynosi: rocznie z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5.—W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. W Ameryce 2 dolary 50 cent. rocznie (5 rubli). Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop. Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy i przesyłki pieniężne należy adresować w ten sposób:
Do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego" pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Redaktor i Wydawca: Ksiądz Józef Adamczyk.

Druk Akc. Tow. S. Orgelbranda Synów.—Warszawa, Krak.-Przedm. № 66.

ROK IX. LIPIEC—1909 ROK. TOM VII (XCII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Marszałkowska № 101.

1909.

Treść tomu lipcowego 1909 roku,

ogólnego zbioru XCII.

ILLUSTRACYE:



Chwały ziemi polskiej.



Stanisław hrabia Tarnowski.

Jednym z najzasłużeńszych dziś mężów w Polsce jest bez wątpienia Stanisław hr. Tarnowski, prezes krakowskiej Akademii umiejętności. Nikt może tak, jak on nie ukochał przeszłości naszej, nie poświęcił całego życia swego, aby wielkość i świetność dawnej Polski współczesnym przypominać i w mistrzowskim słowie opiewać. Obecnie Kraków, a z nim Polska cała święciła jubileusz czterdziestolecia pracy tego męża na niwie piśmiennictwa i służby dla dobra kraju. Nie było ani jednego serca polskiego, któreby żywiej w dniu jubileuszowym nie zabiło, nie rozgorzało życzeniem, aby Bóg jak najdłużej zachował nam w zdrowiu i szczęściu tak znakomitego pracownika, tak utalentowanego i uczonego profesora.

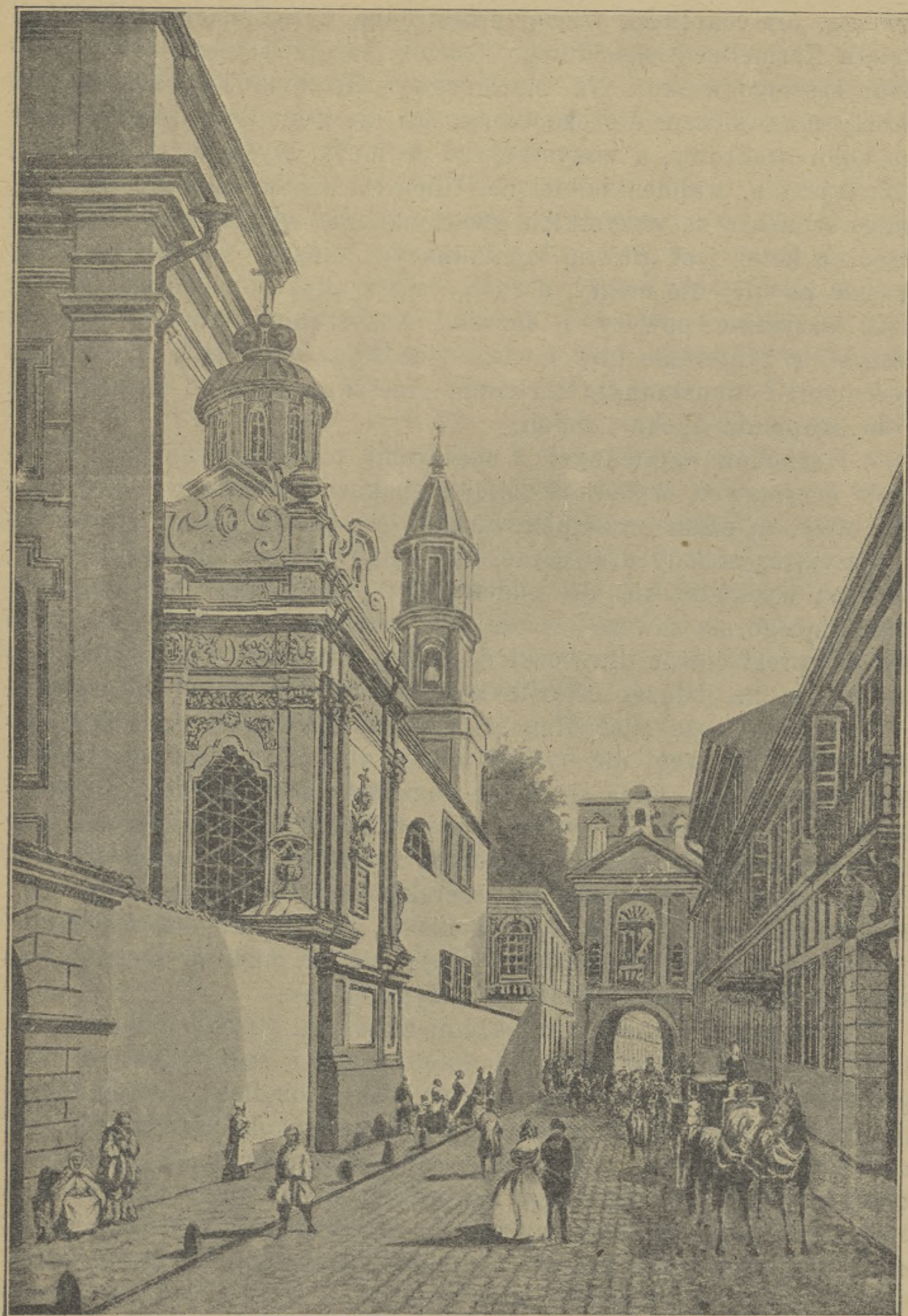
A oto wyjątek z prac Stanisława hr. Tarnowskiego, opis drogiej nam świątyni Ostrobramskiej. Podajemy ten opis, aby dać czytelnikom chwilę rozkoszy duchownej, dać próbkę, jak czuje i pisze jeden z najzasłużeńszych współczesnych mężów w Polsce.

Ostra Brama w Wilnie.

Z rycin, z opowiadań i opisów przedstawia sobie każdy człowiek Ostrą Bramę inną zupełnie, niż jest w rzeczywistości. W głębi ulicy długiej, staroświeckiej i bardzo cichej wyobraża sobie bramę wysoką, wązką, daleko smuklejszą może, niż Floryańska w Krakowie, prawdziwą „ostrą“; w niej wysoko nad ludźmi przez otwarte okna z ciemnego wnętrza kaplicy połyskują marmury, świeci złoto, iskrzą się drogie kamienie, migają światła lamp srebrnych; na górę prowadzą po dwóch stronach schody kamienne, a na każdym stopniu grupy klęczących, które spływają aż na ulicę; brama może być poczerniała i obdarta, ale musi nosić ślady wielu wieków... Czyż nieprawda, że jest się przygotowanym na coś bardzo malowniczego, a w tej malowniczości przeważają dwa pierwiastki — starożytność i przepych?

Rzeczywistość jest zupełnie inna. Jedziesz ku miastu ulicą, podobną do wszystkich najpospolitszych małomiejskich ulic, ani długą, ani piękną, dość nową, aż ujrzysz się przed kwadratową, ciężką basztą, bramą zapewne, skoro się pod nią przejeżdża; ta brama, bez stylu i bez cechy starości, bo ją zawsze bielą i mażą, pomalowana jest rosyjską modą na żółto, gzymsy na niej i Pogoń nad otworem bramy wysmarowane wapnem na biało. Nie wiesz, na co patrzysz i gdzie jesteś, kiedy widzisz naraz, że twój dorożkarz zdejmuje czapkę, że na ulicy wszyscy bez czapek, że niektórzy klęczą na bruku... już wiesz, co to za brama! Zrywasz czapkę i ty, chcesz dojrzeć obrazu „Panny świętej, co w Ostrej świeci Bramie“; widzisz tylko kapliczkę, przystawioną do bramy tak, że zdaje się być jedną ścianą, widzisz z trzech jej okien największe środkowe naoścież otwarte, a za tem oknem firanki, które zasłaniają obraz. Ale napróżno szukasz przepychu lub starożytności; owszem nic skromniejszego, powiedzmy po prostu, nic uboższego, jak ta budowa, dostawiona do bramy tak, że staje się być jej facyatą, a tylko z za dwóch boków trójkąta, który stanowi szczyt kaplicy, wyglądają dwa rogi właściwej kwadratowej baszty. Inaczej świeci obraz częstochowski ze swej Jasnej-Góry, której wieże i baszty na kilka mil widne do koła; i z daleka już można mu się pokłonić.

Niegdyś, przed wiekami, obraz stał we framudze tej baszty, tak mniej więcej, jak figura świętego Floryana w bramie Floryańskiej w Krakowie; później wystawiono nad wjazdem kapliczkę dre-



Ostra Brama w Wilnie.

wnianą, już cokolwiek więcej przestronną, a tę dzisiejszą ukończyli księża Karmelici z sąsiedniego kościoła świętej Teresy już w początkach zeszłego wieku. Na marmurowy nie było ich stać; jest to prosty mur, niczem nie ozdobiony, ani nie zasłonięty, pomalowany na kolor szafirowy, a wszystko, co z muru wystaje, jak gzymsy, pilastry i t. p., wapnem pobielone. Ulica nie cicha, niestety; owszem, najgwarniejsza ze wszystkich gwarnych ulic wileńskich, bo prowadząc do kolei, jest główną komunikacyą miasta. Dawniej powozy jeździć po niej nie mogły, a ruch, cały szukał sobie dróg innych; dziś wszystkie powozy i dorożki, wszystkie pakunki i ciężary, wszystkie żydowskie fury i wózki jeżdżą po pod Ostrą Bramą bez ceremonii i nieustannym turkotem przeszkadzają i do nabożeństwa i do skupienia ducha i myśli.

I schodów kamiennych z ciosowemi poręczami niema. W jakiejś przystawce, w jakiejś żółtej niepokaźnej budzie, po lewej stronie ulicy, są ciasne wązkie drzwiczki; jest ciasny, wązki, ciemny kurytarzyk, są schody drewniane, niebardzo ciasne, ale dość trudne; po tych wychodzi się do maleńkiego przedsionka (czy kruchty), znajdującego się zawsze jeszcze we wspomnianej budzie, z niego zaś nawprost ciasne drzwiczki do małej zakrystyi, a na prawo małe, wązkie, na jednego człowieka ledwo, żelazne drzwi do kaplicy.

Kaplica może mieć długości kroków kilkanaście, szerokości ledwo kilka; na pokój nie byłaby bardzo duża. Jak wejdzie pięćdziesiąt osób, już nie mają się gdzie pomieścić, a gorąco staje się dusznem i nieznośnem. Z dwóch ścian dłuższych jedną zajmują trzy okna, wychodzące na ulicę i podczas nabożeństwa zawsze otwarte, drugą przez całą prawie jej szerokość ołtarz i umieszczone przy nim małe organki. Wszystko to nizkie, tak, że ten ołtarz, choć dochodzi do samego sklepienia, wydaje się za nizki w stosunku do swej szerokości, jakiś zduszony, przygnieciony.

I tu niema ani marmurów, ani złota, ani pereł i kamieni, ani lamp kosztownych; ściany pociągnięto klejowo szafirowym, a sklepienie zielonym kolorem; ołtarz murowany, pomalowany olejno, udaje marmur; kolumny ołtarzowe i wszystko wokoło nich na pierwszy rzut oka niby ze srebra, ale to wszystko drewniane, obwieszone tylko srebrnemi wotami. Są na ołtarzu nawet dwie figury świętych, drewniane, złocone, tak złe, że mogłyby stać w najskromniejszym wiejskim kościele; nawet lichtarze, tylko te, co małe, są srebrne, a wielkie są ołowiane, czy cynowe. I wota skromne. Niema częstochowskich buław hetmańskich, ani królewskich darów; srebrne blaszki, przez biedaków zawieszone, wyobrażają to nogi, to rę-

ce, to oczy, to serca; niektóre mają napisy niezgrabne, jak gdyby szpilką wydrapane. Jedyne wotum bogatsze, to wielki srebrny półksiężyc, który cały obraz od spodu obejmuje, tak, że na obrazkach wydaje się, jak gdyby był jego częścią.

Nie częstochowskie to bogactwa i wspaniałości... Tam Matka Boska na swej wysokiej górze, w swojej obronnej fortecy, w swojej wspaniałej kaplicy wygląda, jak królowa na majestacie; tu, w tych prostych, białych murach, w tej ciasnej przestrzeni, w tem otoczeniu ubogiem wygląda sama, jak w więzieniu, w ucisku, w ubóstwie. I w obrazach samych podobna różnica. Częstochowski ma oblicze surowe i groźne, tak, że mu w oczy patrzeć trudno; — ten patrzy tak łagodnie, tak łaskawie, a tak smutno, jak gdyby sam chciał płakać nad sobą; a widząc go w tem ubóstwie, w tym ucisku, myśli się o Matce Bolesnej, jak z pod krzyża wróciła do swojej izdebki, a za nią mała garstka wiernych, płaczących niewiast i uczniów. I tu tak ciasno, i tu tak mało ludzi wejść może, a ci ludzie, co są, płaczą tak często, i to nie nad sobą tylko, ale, jak tam po powrocie z Golgoty, i nad Najświętszą Panną także, że taka biedna, i nad Jej Synem, że zelżony i umęczony przez Heroda i Piłata!... Doprawdy, patrząc na te kobiety, klęczące koło ołtarza i płaczące, myśli się o ś. Salomei, albo ś. Weronice, o tych świętych niewiastach, które z takiem uczuciem pojął i przedstawił Delaroche w „Wielkim Piątku“, jak Matkę Najświętszą znękaną odprowadzają do domu, albo na kolanach próbują krzepić i cucić zemdloną. A sam sobie wydaje się człowiek, jak gdyby szedł gdzieś daleko, „na końcu“, i przez uchylone drzwi patrzał na sceny świętych boleści i sam je choć trochę podzielał. Taki jest charakter Ostrej-Bramy, taki rodzaj czci, którą tam Matka Boska odbiera, i takie wrażenie. I gdyby na tem miejscu stanął przybytek tak wspaniały, jak niema żadnego na świecie; gdyby go wszystkie skarby świata zdobiły; gdyby najzawołańsi śpiewacy od rana do nocy śpiewali jak anioły, a setki tysięcy ludzi klęczały dokoła: nie robiłby ten przybytek większego wrażenia, jak robi dziś, w tej swojej biedzie i przez nią.

Obraz sam mało jest podobny do innych. Twarz jest więcej, niż naturalnej wielkości; jej kolor nie czarny wcale, raczej zanadto czerwony; figura cała zasłonięta zwykłą u nas sukienką, tylko, że nie jest jak w Częstochowie na aksamicie, perłami i kamieniami haftowana, ale wyrobiona ze srebrnej, pozłoconej blachy i wyrobiona wcale ładnie. Jedyna to rzecz okazała i bogata w całej kaplicy. Z rana msze wychodzą jedna po drugiej bez przerwy aż do godziny jedenastej, wieczorem zaś o szóstej czyta ksiądz litanię przed

odsłoniętym obrazem, a zawsze, tak wieczorem, jak z rana, kaplica pełna i na schodach ludzie się tłoczą i na ulicy klęczą.

Przed Ostrą Bramą, po lewej stronie ulicy, stoi rodzaj domu, umyślnie zbudowanego, który na piętrze ma tylko jedną salę, raczej duży pokój, z oknami, dającemi wprost widok na ołtarz, z ławkami do siedzenia i klęczenia: to rodzaj loży dla tych, którzy do kaplicy docisnąć się nie mogą, a wolą mszy słuchać pod dachem, niż na ulicy.

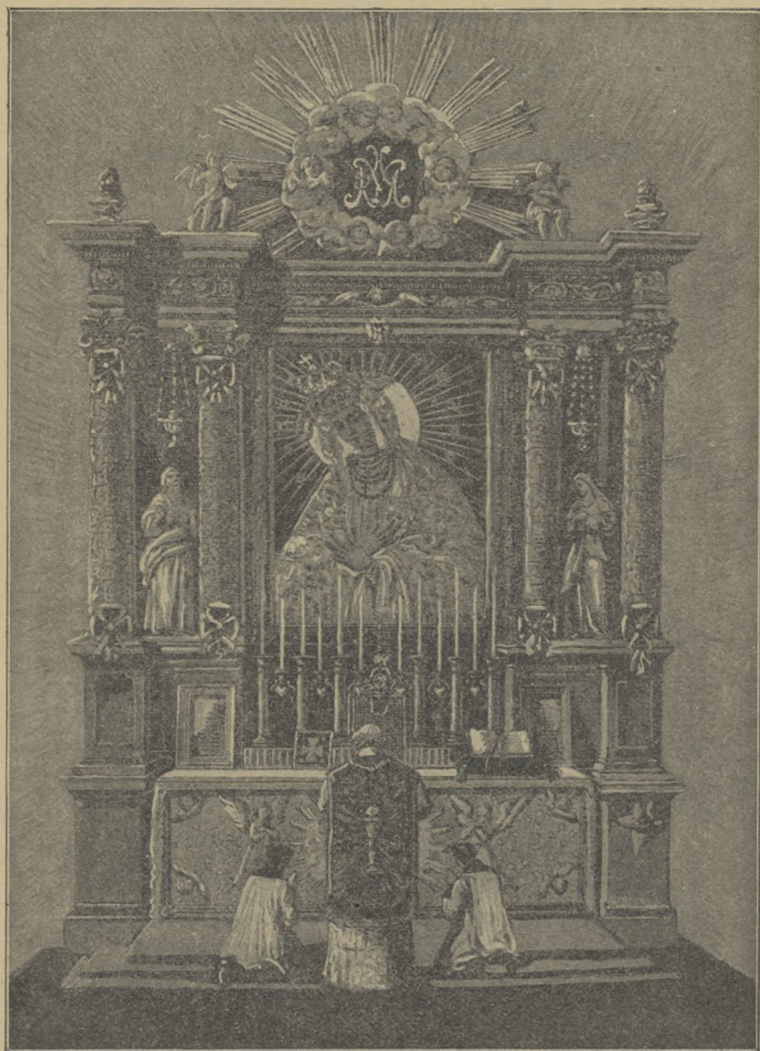
Tutaj, na ulicy, dużo żebraków i kalek wszelkiego rodzaju i cokolwiek sklepików i przekupek z obrazkami, medalikami, szkaplerzami i wszelkim takim kramowo-odpustowym towarem. Towaru tego niewiele i dosyć lichy. Ani mowy o takich pięknych obrazkach na blasze lub drzewie, jakimi pyszni się Częstochowa. Za to przekupki, które tutaj te obrazki sprzedają, otoczone są najwyższem uszanowaniem całego miasta, nawet całej Litwy, jako bardzo godna, mądra i typowa część ludności.



Józef Grajnert.

NASZE DZWONY.

Jest jedno brzmienie, które od zarania
Aż do mogiły żyje z nami społem:
Żywot nam ono i wieczność odsłania,
Jest dla nas stróżem-aniołem.
Gra nam muzyką, tak z pod serca wziętą,
Jak śpiew hejnałów w najwspanialsze święto,
Gra dźwięki rzewne, radosne, lub owe,
Jak „Marsz żałobny“ — treny narodowe.
Tak brzmią nam dzwony
Z podniebnej strony,



Matka Boska Ostrobramska w Wilnie.

Gdy rozegrane,
W echa rozwiane,
Tętnami serc swych w roznośny dźwięk
Głoszą nam szczęście, lub łzawy jęk.

Lecz najgłośniejsze są te dziejów dzwony,
Co tętnem serca ojczyźnianem grają;
W spiż ich śpiew naszych ukochań wcielony
Jak wiatr w szum dębów w zagaju.
Gdy się odezwą z pra-prastarej wieży,
Dźwięk ich czar taki na kraj cały szerzy,
Że serca nasze z ich sercem współbrzmiące
Budzą nam w duszach pamiątek tysiące...
Od mórz nam grały
Pochód wspaniały;
Choć brzmieć przestają,
Jeszcze nam drgają
Echa przesławnych, dziejowych dum,
Głośnych, jak gdyby mórz wielkich szum!

Nad lustrem jezior wśród kniejów i wzgórzy
Stała gontyna polańskiej bogini:
Zwała się Niją, a stała na stróży,
Jako dusz ludzkich władczyni.
Wtem krzyż zabłysnął z gnieźnieńskich rubieży,
Z ramion wesołą nowinę w krąg szerzy:
Padła gontyna, a z jej nowych szczytów
Dzwon pierwszy zabrzmiał w krainie Lechitów.
I biją dzwony
Z gnieźnieńskiej strony,
Gdzie orzeł biały
Wzleciał wspaniały.
Jak mur Jerycha od sławnych trąb,
Na dzwięk ich gontyn padł stary ząb.

Krzywoustego miecz długi, niezłomny
Zdobył Białogród, Wolin na Pomorzu;

Wnet krzyż i kościół stanął wiekopomny
U mórz w pogańskiem bezdrożu.
Wygrały dzwony radośnie, wysoko
Pieśń wiecznych świateł nad morską pomroką
Po wyspę Rugię,—tam z czci Światowita
Cześć Chrysta rajską lilią wykwita.
Czasy dalszemi,
Gdy od drgnień ziemi
Zapadł się społem
Zamek z kościołem,
Dotąd w Wolinie z pod brzeżnych fal
Dzwon słychać, niby dźwięczącą stal.[1])

Litwo!—jak tobie srebrnobrzmiące tony
Pieśń wiekopomną wydzwonlły dzwony,
Gdy je Jadwigi zawiesiły dłonie
W puszcz ogromnych nieboskłonie!
Od gór Ponarskich z kniejów Gedymina
Brzmi Palemona aż po dziś kraina
Temi dźwiękami z nieba zesłanemi
Jako bardony odrodzonej ziemi...
Tych dzwonów brzmienia
Wielkie wspomnienia
W jedność spajają.
Niechże wciąż grają
Poczętą z Niemna, Wilii wrót
Pieśń, którę odbrzmiał lubelski gród.

W lipcowem słońcu oddźwięki urocze
Wygrały dzwony Krakowa, Poznania;
Echa przebiły podniebne przezrocze,
Aż w Wilnie słychać ich drgania.
Głośno, dobitnie wybrzmiewały dzwony:
„Jagiełło! Witold! Grunwald!“ rozsławiony,

---

[1]) Podanie ludu miejscowego.

Gdzie padły harde łby krzyżackich gadów,
Że mało w świecie tak świetnych przykładów!
Więc biły dzwony
W najdalsze strony
Zwycięstw hejnały,
Dźwięk wiecznotrwały
Naszych oręży w olbrzymi głos,
Że Niemcom straszny zadał cios.

Z wziętych Wołochom w boju armat wielu
W przymieszce srebra cudo-dzwon ulano
Z piersią potężną, ozdobę Wawelu,
Imię Zygmunta mu dano.
Gdy dźwięk zeń śliczny aż do gór rozbrzmiewa,
Myślisz, że chwałę Zygmuntów kraj śpiewa,
Że słyszysz wielkość przeszłości w tem graniu
Niby symfonię słońca o świtaniu.
Tak Zygmunt z wieży
Gdy w spiż uderzy,
Zda się, organy
Grają hymn znany...
Dusza narodu-bo weszła weń,
By Wielkanocny wydzwaniał dzień.

Biją w Warszawie z wszystkich świątyń dzwony:
Jan Trzeci wraca z po nad fal Dunaju,
Wraca, w dębowy wieniec ustrojony,
Tętna serc ludu wtór grają.
Cieszy się ziemia, cieszą duchy w niebie,
Że tam w przesławnej pod Wiedniem potrzebie
Półksiężyc został przez krzyż w pył strącony
I poszedł odzew w górne regiony:
Bo aż w gwiazd roje
Wplótł imię swoje
Nasz Jan Sobieski. [1])
Więc w szlak niebieski,

[1]) Gwiazdozbiór: „Tarcza Sobieskiego.“

Wśród bicia dzwonów z lechickich pól,
Tryumf swój posłał bohater-król.

Tak żyją wiecznie te dziejowe dzwony,
Co tętnem życia narodowem drgają;
W spiż ich śpiew naszych ukochań wcielony,
Jak wiatr w szum dębów, w zagaju...



PIĘKNOŚĆ UMARTWIENIEM.

LEGENDA.

W kościołku wioski Buadorozo, położonej w Hiszpanii, niedaleko miasta Saragosy, znajduje się kamień biały, przyniesiony przez jakiegoś pobożnego pielgrzyma z Konstantynopola, mającego na sobie jakby ślady pisma, przez czas jednak bardzo zniszczonego. Lud o kamieniu tym opowiada bardzo zajmujące szczegóły, uczące, jak w każdym wypadku, choćby najnieszczęśliwszym, z wolą Bożą należy się zgadzać. Legenda ta, znana powszechnie w całej tamtejszej okolicy i przetłómaczona z oryginału, jest następującej osnowy.

* * *

Perłą Wschodu, cudną różą Edenu, zwano córkę cesarza Teodozyusza, Pulcheryę, zrodzoną, jak jej ojciec, pod rozkosznem Iberyi niebem. — Piętnasta wiosna ledwo dla niej zakwitła, a już świat cały sławił jej zachwycającą urodę. Najpiękniejsze Konstantynopolu panie, uwielbiając jej anielską dobroć i niewinność duszy, zazdrościły jednak prześlicznych oczu Pulcheryi, a jednak te cudne oczy od urodzenia pozbawione były wzroku! Córa następcy Walentyna, siostra Arkadyusza i Honoryusza, bożyszcze rodziny cesarskiej, jeszcze nigdy nie oglądała swoich rodziców, ani braci ukochanych!

Nie mogła ujrzeć rysów swej matki Flaksyli, gdy ta ją tuliła do łona, tylko jej słowa pieszone słyszała; nie widząc jej, przyjęła ostatnie przedśmiertne błogosławieństwo, czuła woń kwiatów, a nie widziała ich barwy, bawiła się i rozmawiała z rówiennicami, ale tylko znała je po głosie. Gdzie się tylko zwróciła, wszędzie otaczała ją ciemność, o jakiej widzące oczy nie mają nawet pojęcia.

— Szczęśliwa Pulcherya!—powiadano: Opatrzność uposażyła ją świetnemi darami ciała, umysłu i duszy, miłością rodziny i otaczających; a jednak dobra, tak wielkie i mnogie, straciły wszelką cenę w jej sercu, kiedy młodzieńczych lat dorosłszy, słyszała w każdej chwili, jak ją mianowano najpiękniejszą pomiędzy pięknemi, gdy w uszach jej brzmiały podziw i uwielbienie powszechne, a ona tego wszystkiego ani widzieć, ani ocenić nie mogła. Próżność bowiem w jej serce już się wówczas wkradła i wznieciła gwałtowną żądzę posiadania wzroku, ażeby siebie ujrzeć mogła. Przekonana, że matka jej zamieszkiwała przybytek błogosławionych, co wieczór błagała ją w gorącej prośbie, o wyjednanie u Wszechmocnego dla siebie daru widzenia.

Pewnej nocy we śnie ukazała się córce matka Flaksyla.

Jasność promienna skroń jej otaczała, w ręce prawej trzymała palmę, w lewej z gwiazd koronę:

— Córko droga — rzekła głosem słodkim, jakby cichej harfy błogie brzmienie — Bóg wie lepiej od człowieka, co dla śmiertelnego stworzenia dobre i zbawienne, i wzbrania się zadosyć uczynić nierozsądnym pragnieniom twoim; skoro bowiem to, czego pożądasz, otrzymasz, niechybnie na złe ci wyjdzie. Ponieważ Pan twój Stworzyciel niewidomą cię zostawia, widać, że cię taką mieć chce, a ponieważ On, Najświętszy, nie może chcieć, jak tylko tego, co jest dobrem i sprawiedliwem, możesz tedy być zupełnie pewną, że dla ciebie pozbawienie wzroku jest dobrodziejstwem równie wielkiem, jak dla drugich posiadanie onego. Wszakże wzruszony Pan moją prośbą i twojem błaganiem, postanowił w końcu je spełnić, gdyż mądrość i moc Jego są nieskończone. — Lecz, ażeby dar ten nie był z twoją szkodą, musisz, córko moja, wyrzec się aż do godziny śmierci twojej, ujrzenia tego, coś najbardziej ukochała, czego widoku najgoręcej pożądasz. Jeśli na ten warunek chętnie przystajesz, wyrzecz, a jutro w południe przejrzysz!

Usłyszawszy to, dziewica rzekła w duszy:

— Kiedy mię Pan obdarza tem, czego tak mocno pragnęłam, uczyniłabym bardzo nierozsądnie, gdybym się w przyjęciu owego warunku wahała. Cóż ja najmocniej kocham na świecie? Przede-

wszystkiem ojca i braci moich. Smutno mi będzie, jeżeli aż do śmierci nie zobaczę moich ukochanych; ale będę patrzeć na słońce i gwiazdy, zobaczę morze, którego fal szumy tak słodko kołyszą mię do snu, ujrzę ziemię, po której stąpam, twory, któremi Pan ją zaludnił, kwiaty, których woń tak rozkoszna, i oglądać będę ten pyszny Alkazar, sławny z ogromu i wspaniałości. A więc ofiara nie tak zbyt wielka, pozostać ślepą na jeden tylko przedmiot. Przyjmuję więc warunek, matko, o! tak pragnę przejrzeć.

Wyrazy ostatnie półgłosem jej usta przez sen wyszepnęły i wnet niebieskie widzenie zniknęło.

Po ocknieniu się ze snu, Pulcherya z cichem w sercu weselem przeszła do mieszkania ojca, z postanowieniem zamilczenia nawet przed nim i przed braćmi o nadzwyczajnem tej nocy widzeniu. Wewnętrzna radość, która w jej sercu gościła, wybijała się nowym zachwycającym urokiem, na licach jej rozlanym, tak, iż wszyscy otaczający jednogłośnie uznali, że jej nigdy tak uroczą i piękną nie widziano.

W chwili, gdy słońce do połowy swej mety dobiegło, Pulcherya siedziała w pysznej komnacie na przeciw ojca, obok braci i narzeczonego, słuchając ich pochwał i wyrazów najczulszego przywiązania. Nagle cud spełnił się na niej, nadobna córka Flakcyli i Teodozyusza, najpiękniejsza z dziewic Iberyi, otrzymała dar Boski przez matkę jej przyrzeczony... Pulcherya przejrzała.

Było to dla niej uczucie, jakby ocknienia się po śnie krótkim, kiedy się zwolna podnoszą powieki i łagodne światło dzienne do źrenic wpada, ale ich nie razi.

Upojonej rozkoszą, zdało się, że zmysły postrada; długi radosny wykrzyk jedynym był jej szczęścia wyrazem! Nie mogąc przyjść do siebie z podziwu, trzykrotnie zamknęła i otworzyła oczy, trzykrotnie zdawało jej się, że umiera i znów do życia wraca. Poznała narzeczonego Fawencyusza, drogiego ojca, braci, poznała niebo, słońce, obłoki, morze, błonia ogrody, posągi, obrazy, blask drogich kamieni, polysk jedwabiu... wszystkie cuda Boskie i dzieła ludzkiej ręki, wszystko było jej dziwnem a pięknem... W końcu chciała siebie samą zobaczyć. Teodozyusz podał jej z polerowanego złota zwierciadło, spojrzała... i na połyskującej wypukłej powierzchni ujrzała tunikę i na niej płaszcz zarzucony, powyżej ukazywał się bogaty naszyjnik, a wyżej jeszcze po dwóch stronach zausznice kosztowne, a po nad tem wszystkiem świetny dyadem, czyli przepaska drogimi kamieniami sadzona. I wszystkie te wyobrażenia tuniki, płaszcza,

naszyjnika, zausznic i przepaski poruszały się w zwierciadle w miarę poruszeń ciała i głowy Pulcheryi, lecz ani cienia ludzkiej postaci widać nie było. Podniosła rękę prawą do czoła i część dyademu zniknęła, jakby czemś przykryta, natomiast ukazały się znów w zwierciadle naramiennik i pierścień rękę księżniczki zdobiące, lecz ręki widć nie było. Po kilkakrotnych próbach przekonała się, że zwierciadło odbijało wszystkie przed nim stawiane przedmioty, z wyjątkiem jej samej. Na jej żądanie podano wiele zwierciadeł z innego kruszcu zrobionych, lecz w każdem to samo się powtarzało. Pytała ojca i wszystkich obecnych, czy ją w zwierciadle widzieli, i potwierdzającą słyszała odpowiedź, dla każdego bowiem widzialnem było jej odbicie, jak wszystkich innych przedmiotów i osób, ale nikt się nie domyślał, że tylko księżniczka osoby swojej dostrzedz nie może. Pomnąc naówczas na nadzwyczajną z matką rozmowę, Pulcherya chciała jej treść drugim udzielić i smutną wyjaśnić przygodę, lecz usta jej nie mogły się otworzyć do wyjawienia dziwnej tajemnicy, która z Boskiego rozporządzenia na długie lata ukrytą pozostać miała. Zgadywała już Pulcherya, że tym przedmiotem, przez całe życie dla niej niewidzialnym miało być własne jej ciało, jej wdzięki tak podziwiane, z czego przekonała się, iż celem jej gorących pragnień przejrzenia nie był ojciec, ani bracia, ani nawet narzeczony, ale ona sama.

I wątpić o tem nie mogła; zastanawiając się bowiem nad ogromem żalu, który jej serce ścisnął, skoro się przekonała, iż swojej postaci nie ujrzy, zrozumiała, że rozgłośną swą piękność przedewszystkiem miłowała, że zapragnęła rozkoszować się samą słodyczą swojego uśmiechu, podziwiać ust swoich perły i korale, promienny blask oczu, róże i jaśminy na swem licu zespolone.

Niestety! wszystko to było dla niej niewidzialne. Zawód nie mógł być boleśniejszym, ani straszniejszem jej udręczenie. Chwilowa radość z oglądania tylu cudów odbiegła na zawsze, twarz jej łzy gorzkie zalały, łkanie bolesne piersi jej podnosiło, a obecni sądzili, że tak wielkie szczęście tak gwałtownego wzruszenia było powodem i znaleźli, że nigdy tak piękną jej nie widzieli, co jeszcze bardziej żal jej powiększało. Teraz ukazała jej się przyszłość, jako ciąg dotkliwych cierpień; ażeby się od nich oswobodzić, zgodziłaby się, by twarz jej najstraszliwiej zeszpeconą została... z warunkiem może, aby nikt tego nie dostrzegł, oprócz niej samej.

I od dnia owego, który miał być dniem szczęścia dla pięknej Pulcheryi, uśmiech z jej ust uleciał, odeszło wesele z jej serca. Lecz ze smutkiem na twarzy jeszcze piękniej jej było, chór pochwał brzmiał znowu wkoło, pomimo jej próśb naglących o zaprze-

stanie tych oznak podziwu. Jakże boleśnie raziły jej serce hymny weselne, któremi poeci jej zaślubiny z księciem sławili! Jakże zazdrościła losu żebraków i nędzarzy, których miłosierna jej ręka szczodrymi obsypywała dary! Oni się cieszyli oglądaniem jej oblicza, a ona nawet swej ręki darzącej dostrzedz nie mogła!

W szale rozpaczy często zdzierała z siebie bogate stroje, piękny włos targała i grubą pokutniczą przywdziewała szatę... A w tej smutnej odzieży nad podziw była czarującą, i znów jej ucha doleciał cichy szmer uwielbienia. Nie ukazując się już publicznie, żyła ustronnie w głębi pałacu, przykazała całemu dworowi i wszystkim służebnym, ażeby na nią nie spoglądali, skoro każde spojrzenie było do nowych pochwał pobudką. Szanowano jej wolę, lecz jakże przymusem skrępować drobnych jej dziatek wzrok i mowę? Niewinne stworzenia, wpatrując się z miłością w ukochaną rodzicielkę, zdumiewały się nad różnicą, jaką w jej rysach widziały od innych niewiast oblicza i w dziecinnej szczerocie wołały z zapałem:

— O, matko, droga matko, tyś ze wszystkich kobiet najpiękniejsza!

— Tak! — mówiła wtenczas sama do siebie z westchnieniem, nad wszystkie najpiękniejsza jestem, ale i najnieszczęśliwsza, gdyż widzieć tego nie mogę.

Jednego dnia w nadziei, że powierzając swoją tajemnicę ukochanemu małżonkowi, ulży udręczeniu swemu, nie mogąc jej wypowiedzieć, spisała w liście swoim objawienie się Flaksyli i twardą pokutę oczom jej naznaczoną. Lecz w chwili, gdy pismo kończyła, papier z rąk jej zniknął...

I tak w smutku i utrapieniu przeżyła lat wiele piękna Pulcherya, ofiara poniewolna nienasyconej próżności. Aż nareszcie przypomniała sobie ową koronę i palmę, które jej przyrzekła matka w wielkim dniu przejrzenia.

Rzekła więc do siebie w ukorzeniu ducha:

— Umierając, ujrzę siebie, a dopóki żyję, niech się dzieje wola Pana!

I przestała się ukrywać przed ludźmi, odrzuciła suknię pokutną, którą usiłowała przyćmić blask swej piękności; owszem, ukazywała się świetna w każdej okoliczności i zawsze w szatach i strojach właściwych córze i siostrze cezarów.

Wewnętrzna szczera i usilna praca niechybne przynosi owoce. Pulcherya pomału przyzwyczaiła się słuchać pochwał swej osoby, naprzód bez rozdrażnienia, potem z łagodną cierpliwością i pobłażaniem, a w końcu z pokorą i uczczeniem woli Bożej.

Przychodziło jej także na myśl, iż zwykłym dla ludzkości trybem piękność jej z laty się zmieni, a więc umartwienie przez nią sprawiane samo z siebie przeminie, lecz i w tem się omyliła. Przeznaczeniem jej było pozostać piękną we wszystkich życia dobach. Piętnastoletnia dziewica, jak wiosna kwitnąca, jak różowa jutrzenka świeżym i niewinnym czarowała urokiem; szlachetna małżonka w trzydziestu leciech jaśniała całym słońca blaskiem, kiedy świetna ta gwiazda na letniem niebie południa dobiega; gdy doszła lat czterdziestu wdzięki jej były zawsze niezrównane, choć inny wyraz przybrały, uświęcone majestatem matek, tych królowych rodzaju ludzkiego. Teraz zbliżał się koniec pięćdziesiątego roku jej życia, otaczał ją liczny synów, cór i wnucząt poczet, a piękność jej wiekiem nienaruszona, odmienna wprawdzie od młodocianej, równie była świetną i równie rozgłośną. Wielki Teodozyusz już nie żył. Przez ciąg tej całej stulecia połowy, na wszystkiem wokoło Pulcheryi wiek swoje piętno wycisnął, wszyscy się postarzeli, z wyjątkiem jednej tylko Pulcheryi.

Dla uczczenia pięćdziesięcioletniej rocznicy szczęśliwych jej narodzin, zaprosił Fawencyusz wszystkie swoje dzieci, synowe i zięciów, aby od samego rana do cesarskiego pałacu przybyli i aby każda para przywiodła rodzinę swoją. W pięknej gotowalnianej komnacie, której ściany pokrywały ogromne gładkie płyty czarnego połyskującego kamienia [1]) na przemian ze słupami z drogocennych marmurów, Pulcherya siedziała wpośród strojących ją kobiet, kiedy świetny orszak tłumnie wpadając, rzucił się do stóp prześlicznej babuni. Wszyscy razem witali i winszowali, wszystkich błogosławiła ze łzą rozrzewnienia, a gdy słów już brakło na wypowiedzenie, co serca czuły, uściski i pocałunki wzajemne mówiły to, czego usta wyrazić nie były zdolne. Skoro minęły pierwsze chwile wynurzenia słodkich uczuć, córki, synowe i wnuczki ubiegały się na wyścigi o zaszczyt ubierania dostojnej hiszpańskiej księżny. Jedna jej obuwie niosła, druga przepaskę wiązała, inna wkładała naszyjnik, ta płaszcz bogaty zarzuciła na jej piękne ramiona, tamta lśniące sploty włosów dyademem wieńczyła. Pulcherya czuła się tak uszczęśliwioną, jak w owej godzinie, kiedy jej oczy piękny świat Boży ujrzały.

— Spojrzyj na ścianę, senioro! — rzekła z serdecznem wylaniem najstarsza i najpiękniejsza z jej wnuczek — przejrzyj się,

---

[1]) Czarny kamień wypolerowany, używany był w miejsce zwierciadeł.

a uznasz sama, jak dalece zawsze jeszcze wdziękami nas wszystkie przewyższasz.

Dla zadowolenia wnuczki najmilszej sobie ze wszystkich, Pulcherya podniosła wzrok na ścianę, mimo pewności, że w niej siebie nie zobaczy. Lecz nagle spostrzegła na czarnym lśniącym kamieniu odbicie postaci innej, niż te wszystkie, które ją w tej chwili otaczały. Ukazało się najprzód nowonarodzone, a jednak już prześliczne niemowlę, rysy dziecięcia zmieniały się stopniowo, przedstawiając kolejno roczną, dwuletnią i dalej coraz starszą, a zawsze cudnie piękną dzieweczkę. I tak na gładkiej płycie przesunęło się pięćdziesiąt różnych wizerunków tej samej twarzy i wszystkie równej piękności; w niewielu zatem chwilach poznała księżna, jaką niegdyś była, widziała cały szereg stopni piękności, jakie jej rysy przebyły od dnia urodzenia aż do obecnej godziny.

— A więc ja taką byłam? — wyrzekła z wyrazem nieokreślonego zdumienia, które zmieszało niepomału całą rodzinę, niedostrzegającą w zwierciadle nic więcej, jak tylko obraz drogiej babuni, taki, jaką rzeczywiście teraz była.

— A więc to ja jestem? — powtórzyła tak mocno wzruszona, że usta jej zaledwie te słowa wyjąkać zdolne były.

Wtem głos słodki i dźwięczny, ten sam, który przed trzydziestu przeszło laty z niebios do niej przemówił, głos Flaksyli, ozwał się znowu, jakby w odpowiedzi na wyrzeczone przez jej córkę słowa:

— Taką byłaś, moje dziecię, a teraz patrz, jaką wnet zostaniesz.

Nagle zniknęły w zwierciadle światowe księżny stroje, postać jej cała w śnieżystej bieli, w cudownej ze światłości tunice, włos uwolniony z wiążących go wstęg i klejnotów rozsypał się po ramionach, lice jej oblał taki blask piękności, jakim tylko jaśnieją niebiańskich sfer mieszkańcy, piękności, na którą niema w ludzkiej mowie wyrazu, tak różną jest i większą od ziemskich powabów wdzięku. Dwa skrzydła śnieżne, złotem strzępione z ramion strzeliły, dłoń prawa trzymała palmę zwycięstwa, czoło gwiaździsta wieńczyła korona, promienny symbol nieprzeżytej szczęśliwości. W czarnem zwierciadle po przesunięciu się obrazów wdzięków swego ciała, widziała teraz Pulcherya swojej duszy obraz, w postaci anioła, dążącego do szczęsnego sióstr i braci grona, z wzrokiem utkwionym w górne Syonu niebieskiego bramy... Uśmiech anielski osiadł na ustach, zamknęły się powieki, ręka ścisnęła wierną dłoń małżonka, pochyliło się czoło na łono wnuczki ulubionej, a duch w objęciach Flaksyli uleciał w błogosławionych dziedzinę...

Czarna płyta straciła nagle swój połysk, po takim obrazie nie wolno już jej było ziemskich odbijać postaci, zmieniła się w biały kamień, na którego powierzchni wystąpiły jednocześnie czarne zgłoski listu, pisanego niegdyś przez Pulcheryę, dla objawienia tajemnicy swych zgryzot.

Kamień ten dla nauki ziomków pielgrzym przyniósł do rodzinnej swej wioski Budaorozo, żeby nie zapomnieli nigdy, że dopóki Pulcherya kochała urodę swej powierzchowności, cierpiąca i zbolała, była prawdziwą męczenniczką: poddawszy się woli Bożej, poznawszy, że nie uroda daje szczęście, ale pokora duszy, uspokojenie serca stało się dla niej niebem już na ziemi i jako duch czysty wzniosła się w krainy wiekuistej szczęśliwości.



JÓZEF GRAJNERT.

Z DZIEJÓW JASNEJ-GÓRY.

Cuda i dobrodziejstwa.

Uzdrowienie córki krajczego.

Urząd krajczego w Polsce dworski, honorowy, był wyższy od podczaszostwa, a niższy od stolnikowstwa. Byli dawniej krajczowie dworscy i ziemscy. Obowiązkiem krajczego było podczas uczty zastawiać stół, krajać potrawy i podawać cześnikowi, który przed osobą króla je stawiał. Wpierw jednak stolnik nakrywał obrusem stół królewski. Są ślady istnienia u nas tych urzędów honorowych już w początkach XIII wieku za panowania Piastów. Było za czasem dwóch krajczych dworskich: wielki koronny i wielki litewski; urząd ich szedł porządkiem po cześniku, podstolim i stolniku; obaj, jako urzędnicy dworscy, królewscy, mieli prawo zasiadania w senacie.

Byli też podczaszowie i ziemscy tak w Koronie, jak i na Litwie, a tych, jak tamtych mianował król; ziemscy zajmowali w Koronie miejsce między stolnikiem a podczaszym i podsędkiem ziemskim, a na Litwie między strażnikiem a budowniczym.

Otóż córką takiego ziemskiego krajczego oświęcimskiego, niejakiego Bobrowskiego, szlachcica, była siedmnastoletnia panna, imieniem Tekla, o której tu więcej powiemy w opisie cudownego zdarzenia. Wprzód jednak kilka słów przytoczymy o samym Oświęcimiu, dziś miasteczku u podnóża wyniosłego wzgórza przy granicy śląskiej, jako bardzo dawnem i głośnem niegdyś mieście.

Już we wzmiankach dziejowych Oświęcim, położony nad rzeczką Solą, blizko jej ujścia do Wisły, w roku 1150 zamieszczonym jest jako gród kwitnący. Kazimierz II-gi Sprawiedliwy, syn Bolesława Krzywoustego, książę krakowski i sandomierski, jako dziedzic ziemi oświęcimskiej, z okoliczności trzymania do chrztu syna spokrewnionego Mieczysława, księcia na Raciborzu i Śląsku, darował mu, jako podarek chrzestny, w r. 1179 tę ziemię. Odtąd należeć począł Oświęcim do Śląska, a następnie został stolicą i odrębnej dzielnicy książęcej. Książę opolski i cieszyński, w r. 1291 potwierdzając prawa miejskie, ustanawia tu skład soli i ołowiu, a też nadaje pastwiska. Gdy następnie Janusz, książę oświęcimski, zbrojną ręką wiele krzywdy Polsce wyrządzał, wysłane w r. 1453 przez króla Kazimierza IV hufce polskie obległy miasto. Stanął rozejm pod warunkiem, aby zamek Koronie był ustąpiony, pókiby książę pewnej sumy pieniężnej nie wypłacił, albo też hołdu królowi nie złożył. Ale Janusz, korzystając z oddalenia się króla do Litwy, oblega już w tym samym roku zamek, a lubo odparty, nie przestaje kraje polskie najeżdżać. Lękając się jednak złych skutków swojego warcholstwa, zawiera z królem ugodę, mocą której za umówioną dużą sumę pieniędzy, ustępuje w r. 1457 Koronie swe księstwo na wieczne czasy i w ten sposób kraina owa znowu się do dzierżaw polskich wróciła. Wszystka też szlachta onej krainy wiarę i posłuszeństwo swoje królowi zaprzysięgła.

Mimo to, niespokojnego umysłu książę już zaraz w tymże samym roku, połączywszy się z niepłatnem żołnierstwem, z Czechów, Ślązaków i Koroniarzy złożonem, usiłował ubiedz oświęcimski zamek; lecz gdy mu się i teraz nie powiodło, rozszerzał zdzierstwa i rabunki na pograniczu księstwa.

W późniejszych latach Zygmunt I pozwolił w r. 1539 mieszczanom kupować w żupach krakowskich sól centnarową, wystawiając takową na sprzedaż mieszkańcom księstwa oświęcimskiego i zator-

skiego. Syn tegoż króla Zygmunta, August, nadał miastu pobór mostowego na Wiśle, Sale i z innych mostów; przytem polecił 1563 r., aby, zważając na szkodliwą działalność żydów, nie przyjmowano ich więcej nad znajdującą się dotąd liczbę i aby ciż nie ważyli się domów w rynku nabywać.

Dopiero w r. 1564 za tegoż króla nastąpiło urzędowe wcielenie księstwa do Korony, a w szczególności do województwa krakowskiego. Oświęcim z przyległościami obrócony na powiat z zachowanem tytułem księstwa, otrzymał starostę grodzkiego i kasztelana mniejszego. Tegoż roku postanowił król, aby sól bałwanowa, przeznaczona do Śląska i Morawii, koniecznie, pod karą, prowadzona była przez miasto, a to dla przysporzenia temuż dochodu z mostowego i składowego. Dbali więc królowie polscy o dobrobyt i tego miasta. Poczta, szewcy, rzeźnicy, piekarze, piwowarzy i t. d. składali stale na zamek i chwilowo na obmurowanie miasta, pewne opłaty w pieniądzach i naturze, a ostatni starosta Piotr Małachowski rocznie zapłacił w r. 1772 kwarty, to jest czwartą część dochodu na wojsko, w kwocie ówczesnych 1414 złotych.

W r. 1569 mieszczanie otrzymali wolność warzenia piwa, zwanego „marzec“, i użytkowanie rzeki Sali wraz z połowem ryb. Wojna szwedzka, tak jak prawie wszędzie w Polsce, srogą zadała klęskę i temu miastu, tak, że według lustracyi z r. 1660, było w niem domów tylko 20, rzemieślników 6, a było przedtem osady 500, rzemieślników 200. Zamek podniszczony z czasem, wraz ze sklepem na archiwum ksiąg grodzkich, kaplicą i mieszkaniami, w ostatnich czasach Rzeczypospolitej nieco odrestaurowano; lecz pożar w r. 1863 pochłonął 130 domów i podniszczył kościół parafialny murowany, obszerny, noszący datę nad drzwiami 1529 roku. Ratusz czworoboczny zdobi rynek. Z zamku już niewiele zostało. Herb powiatu, czyli ziemi oświecimskiej wyobraża orla czarnego w błękitnem polu z literą O na piersiach.

Było to 29 maja 1786 r., gdy wspomniana powyżej panna Tekla Bobrowska, córka krajczego oświęcimskiego, doznała większego niż dotąd w swej chorobie ataku. Była ona już od dwóch lat i sześciu miesięcy spazmami i paraliżem dotknięta, tak, że wszelkiej władzy w nogach pozbawioną była; prawą zaś rękę, uschłą zupełnie, w tył wykręconą mając, nieruchoma przez 30 miesięcy na łóżku leżała, z którem nawet poruszoną być nie mogła bez wzniecenia najokropniejszych konwulsyj. Napróżno zamożni rodzice, czyniąc wielkie nakłady, wzywali krakowskich lekarzy, by córkę leczyli; lecz ci chorobę za nieuleczalną uznawszy, chorą w końcu odstąpili.

Ale pobożna panienka nie traci nadziei, uzdrowienia swojego przez przyczynę Tej, którą świat chrześcijański swoją lekarką nazywa. Błaga przeto rodziców, aby ją powieziono i przed cudownym obrazem na Jasnej-Górze złożono.

Wyruszono więc z domu; rodzice szli pieszo obok łoża, które wraz z chorą nieśli ostrożnie ludzie. Biedna! w drodze ciągle konwulsye cierpiała; aż po pięciu dniach podróży stanęli u bram klasztoru. Gdy ją z łóżkiem przed świętym obrazem złożono w kaplicy i ona z przejęciem się serdecznem zaniosła rzewną modlitwę, konwulsye przestały ją dręczyć.

Po odprawieniu uroczystej wotywy za chorą i odśpiewaniu przez OO. Paulinów antyfony: „Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko“ i pieśni „Wielbij, duszo moja!“ — gdy z wzniesionemi rękami i sercem zaczęto śpiewać: „Okaż się być Matką“, chora, dotąd wszelkiej władzy pozbawiona, nagle własnemi siłami podnosić się, a uschłą rękę wydobywszy, do obrazu świętego wznosić ją zaczęła!

Na widok ten cudowny wielki płacz i okrzyk uwielbienia powstał w licznych tłumach ludu z Polski, Śląska, Czech i Moraw napełniającego kaplicę. Zachwyceni tak wielkiem dobrodziejstwem Maryi, rodzice uzdrowionej panienki, krzyżem leżąc, łzami wdzięczności posadzkę skropili.

Działo się to w ostatnich latach królowania u nas nieszczęśliwego Stanisława Augusta Poniatowskiego.



ZŁOTE MYŚLI.

W tem życiu człowiek tęskni do prawdy nieskończonej, bo w duszy jego tleje iskra Boża; tęskni, jak sierota za rodzicami, jak wygnaniec do ojczyzny. Dusza pragnie wiedzy i prawdy, aby tymczasem Stwórcę choć w stworzeniach poznawać mogła, zanim z Nim się połączy.

Kremer.



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Po silnych wzruszeniach Apostołów, jakich doznali, słysząc przestrogi Mistrza, aby się strzegli nauki Faryzeuszów, która jest kwasem, tworzącym ferment szkodliwy dla dusz ludzkich — udał się Jezus z Apostołami na druga stronę jeziora w okolice mniej ludne, aby pozostać z nimi sam na sam przez jakiś czas. Droga prowadzi do miasteczka Betsaidy za Jordanem. W miasteczku za przybyciem Cudotwórcy, wszczyna się znów wielki ruch; — zbiega się lud, — przyprowadzają odrazu ślepego, prosząc Jezusa, aby się go dotknął — aby rękę nań położył.

Jezus miłosierny nie odmawia, przychyla się do prośby, ale nie chce tego uczynić na publicznej drodze, w oczach wszystkich, gdyż ten cud jest dla Apostołów i oni sami tylko mają być świadkami, ażeby znaczenie jego i siła tem głębiej wyryły się w ich duszy. Jezus ujmuje ślepego za rękę, wyprowadza go za miasteczko; lud zrozumiał życzenie, żeby pozostał i pozostaje, by nie przeszkadzać Cudotwórcy.

Uzdrowienie ślepego przypomina uzdrowienie głuchoniemego w Dekapolis. Jezus dotyka się Jego oczu, kładzie ślinę na oczy, gdyż tylko w ten sposób da się wyrazić namacalnie, dotykalnie ta

prawda, że nikt inszy, jeno ten tu obecny Jezus posiada taką moc Boską. Pierwszy skutek włożenia ręki — rzecz dziwna — niezupełny; ale sam Jezus tak chce, a nie inaczej, bo się pyta, jeśliby co widział. Ślepy, rozglądając się dokoła odpowiada: „Widzę ludzi, jako drzewa, chodzących“. nie potrafi jeszcze rozeznać rysów, postaci — ludzie (Apostołowie, których widział) przedstawiają mu się, jako drzewa. Wiara ślepego rośnie — wzmaga się ufność, a zarazem pragnienie gorące odzyskania wzroku. Jezus miłosierny kładzie po raz drugi ręce na jego oczy, a ślepy patrzy z wysileniem i „uzdrowion jest tak, iż widział wszystko jaśnie“.

W tem nowem świetle Apostołowie widzą znowu jasno „Syna Bożego“, któremu już raz oddali hołd i pokłon, którego postać tajemnicza na chwilę była się im w oczach zamgliła.

Minęły już trzy święta Wielkanocne, odkąd Mesyasz objawił się przed Izraelem i te święta obchodził, jako bezpośrednie przygotowanie i konieczny warunek Swej śmierci Mesyanicznej. Przyjdzie jeszcze jedna Pascha, czwarta z rzędu, a tedy Mesyasz stanie u celu, spełni, co zapowiadał, czem groził, co obiecywał. Do tej Paschy już tylko coś około dziesięciu miesięcy. Mało czasu, ale w tych kilku miesiącach ileż zajdzie wypadków ogromnego znaczenia!

Teraz odsłania Zbawiciel po raz pierwszy ostateczny cel Swojego posłannictwa. O Swojej męce i śmierci mówi jasno, otwarcie. Apostołowie widzieli przed sobą „Syna Bożego“ i wierzyli w Niego. Szczęśliwi, że znaleźli oczekiwanego Mesyasza, Odkupiciela Izraelowego, ani się domyślają, w jaki sposób ma się to odkupienie dokonać. W ich oczach jest to poprostu niepodobieństwem, iżby „Syn Boży miał cierpieć i umrzeć, nie rozumieją zgoła jakichbądź o tem napomykań.

A nawet i teraz, gdy im Jezus już uroczyście tę prawdę odsłoni, nie będą chcieli wierzyć, nie będą zdolni wznieść się wiarą do wysokości tajemnicy. Odtąd więc będzie musiał Jezus zwolna, stopniowo, ale i stanowczo oswajać ich z tem „zgorszeniem“ męki i śmierci Swojej z tą pozorną przegraną Swoją, by wiara ich w ostatniej godzinie, tam u grobu ukochanego Mistrza nie rozchwiała się do szczętu.

Znajdujemy się jeszcze wciąż w stronach Cezarei Filipowej. Tu Apostołowie, a na czele ich i w ich imieniu Piotr, wyznali byli z najgłębszą wiarą, że Jezus jest „Synem Boga żywego“. Z jakąż czcią, z jakim lękiem religijnym spoglądają oni na tego „Syna Bożego żywego!“ Im się zdaje, że już stanęli u kresu — tacy szczę-

śliwi. Tymczasem musi nastąpić straszne rozczarowanie, tajemnica musi wyjść na jaw, więc kiedy wierzą w „Syna Bożego“, to niechże ta wiara będzie im tarczą i puklerzem na czarną godzinę.

Apostołowie tę prawdę, którą poznali, radziby całemu światu rozgłosić, pójść do braci wszystkiej i powiedzieć, że ten Jezus, to istotnie „Syn Boży“. Ale ogarnia ich wielkie zdziwienie, gdy Jezus bez osłony żadnej poczyna mówić, iż *potrzeba*, aby Syn człowieczy wiele cierpiał i wzgardzonym był od starszych, Kapłanów i od Doktorów zakonnych — i był zabitym, a po trzech dniach, aby zmartwychwstał.

Odtąd już nie przestanie mówić o tej potrzebie cierpienia, wzgardy i śmierci.

Chwila, w której Jezus po raz pierwszy tę potrzebę, to „słowo“ wypowiedział, jest tak wielka i tak uroczysta, że jej niepodobna wyrazić. Jezus widzi Swą mękę całą: Co się działo w Jego duszy któż to wypowie?! A jakże sobie wyobrazimy ogrom zdumienia i przerażenia, jakie spadły na Apostołów! Mimo jednakże tego przerażenia i tej bezradności wobec nowego objawienia, mimo ciężkiej walki wewnętrznej, mimo porywów krewkości gorącego serca, wiara uczniów ostoi się, odniesie tryumf — bo oni przecież tylko co oświadczyli z uniesieniem: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego“. Na tę chwilę Jezus odkładał umyślnie odkrycie im tej nowej, bolesnej tajemnicy.

Jezus zapowiada uczniom, że Mesyasz w Jeruzalem umrze z ręki przedniejszych kapłanów i starszych Doktorów.

W Jeruzalem! Jakaż to dla serca prawego Izraelity bolesna zapowiedź, jakże to dziwnie mają się spełnić proroctwa!

Od czasów Dawida wszyscy Prorocy mówią, że w Jeruzalem ukaże się *Pożądany*, że w kościele Salomonowym dokona się przejednanie. (Ageusz 2, 7—10). Tak, pojednanie dokona się tutaj, ale przez mękę i śmierć Mesyasza, na co już oddawna wskazują wszystkie ofiary i całe dzieje, choć tego Izrael nie rozumie. I to było przepowipdziane, było i wskazane, że Mesyasz krwawą śmierć poniesie z ręki przedniejszych kapłanów i starszych i Doktorów, którzy niedowiarstwem swojem wszystek lud pociągną za sobą i zgubią. Co się działo zaraz od pierwszej Paschy, świadczy, że to się spełni niechybnie: na Izraela, jako naród, przyjdzie przekleństwo.

Jakie wrażenie ono wielkie „słowo“, ona zapowiedź Jezusowa wywarła na Apostołów, możemy z tego wymiarkować, co odpowiedział Piotr. Napróżno walczy z sobą z uczuciem uszanowania i czci. W prostocie kochającego serca bierze Jezusa na stronę, uczeń Mi-

strza, i mówi: „Boże Cię uchowaj, Panie, nie przyjdzie to na Cię! Nierozumny doradca! W żarliwości swojej zapomina „słowo“ o *zmartwychwstaniu.* W uszach jego brzmią tylko słowa o męce i o śmierci. Jezus więc zwraca się uroczyście do wszystkich, by ani jedno słowo nie uszło ich uwagi, spogląda na nich okiem płomienistem i naraz jak gromem razi niebacznego ucznia. Jezus powiada: „Pójdź za mną szatanie! jesteś Mi zgorszeniem, iż nie rozumiesz, co jest Bożego, ale co jest ludzkiego“.

Te słowa pozostaną na zawsze pamiętne Piotrowi. Czy one nie za surowe? Bynajmniej. Piotr w tej chwili pod wrażeniem zmysłów jest istotnie „szatanem“. Chce jak szatan zniweczyć od wieków postanowione dzieło Boże, dzieło odkupienia. Odwieczna Rada Boża jest ta, iżby Syn przez mękę i śmierć Swoją uwielbił Boga, a wstając z martwych, bramy piekła zgruchotał. Tymczasem Apostół swem strofowaniem stawa w poprzek zamiarom Bożym. Prawda, robi to z miłości, ale ta miłość nierozumna — idzie ze zmysłowej natury, nie zaś z rozumienia tego, co jest Bożego. Piotr więc mimowoli stawa wobec „Świętego“, jako kusiciel, jako „zgorszenie“. Z tego, co wyrzekł Jezus nie cofnie ani jednego słowa. Ale w dalszej mowie, którą wygłosi uczniom i rzeszom ukazuje wspaniały cel i koniec cierpienia i Swojego własnego i uczniów Swoich wszystkich. „Jeśli — naucza Jezus — kto chce iść za Mną, niech sam siebie się zaprze, weźmie krzyż swój, a naśladuje Mię. Bo ktoby chciał zachować duszę swoją (życie) straci ją, a ktoby stracił duszę swoją za Mnie, znajdzie ją.“ Rzesze ludu nie rozumiały zapewne całej doniosłości tych słów, bo nie wiedziały tego, co dopiero zaszło w gronie samych uczniów; ale dla nich, dla uczniów brzmią bardzo poważnie i bardzo znacząco. Teraz słyszą, że i uczeń Jezusowy ma nosić krzyż swój, ma nawet życie swe utracić, by duszę ratować. Teraz więc wyjaśnia się znaczenie męki i śmierci samego Mesyasza, która jest warunkiem i podstawą tego, co ma ponieść uczeń. Jezus mówi o „krzyżu“ nietylko w przenośnem znaczeniu, jako wyobrażeniu cierpienia utrapień, On ma na myśli krzyż rzeczywisty, krzyż na Golgocie. O „krzyżu“ napomykał już i Nikodemowi, gdy mówił o „podwyższeniu“ Syna człowieczego na podobieństwo węża miedzianego. Jak Mistrz, tak i uczeń, każdy na swój sposób, ma ponieść ofiarę zaparcia się samego siebie, umartwienia. Sposób może być rozmaity, ale znakiem figurą niezmienną tego zaparcia się i tego umartwienia pozostanie na zawsze Chrystusowy. Wielka ofiara! A jaki czeka ją koniec. Duszy nie wolno utracić za cenę całego świata, bo raz stracona, nie da się niczem odkupić.

Ostatecznie przecież Syn człowieczy przyjdzie w chwale Ojca Swojego i odda każdemu według uczynków jego. Wobec takiej zapłaty, cóż znaczy zaparcie się samego siebie, ten krzyż, to utracenie życia ziemskiego wzamian za żywot wieczny?

Tak więc z jednej strony *„potrzeba“*, by Mesyasz cierpiał i umarł, a więc i potrzeba dla uczniów zaparcia samego siebie; z drugiej strony będzie zmartwychwstanie, jako Króla i Sędziego.

To nowe objawienie Mesyaszowe będzie odtąd potężnie rozpierało pierś uczniów, będzie do głębi poruszało serca, będzie, jakoby zaciętą walką światła z ciemnością na długi czas.

(D. c. n.)



Zimowanie wśród lodów.

Nadzwyczajne przygody w podróży do bieguna ziemi.

Ciąg 7.

Hatteras omylił się w rachubach. Sądził, że na wyspie Beechey, ku której się zbliżano, będzie mógł zaopatrzyć się w węgiel. To też nie żałując ognia, pędził całą siłą pary.

Tymczasem nadzieje zawiodły. Wyspa była pusta, niezaludniona. Nie znaleziono nawet śladów mieszkań ludzkich.

Shandon spoglądał od pewnego czasu na kapitana, jakby z niedowierzaniem. Znać było w całem zachowaniu się dzielnego dotąd komendanta coś jakby wymuszonego. Rozkazy wypełniał wprawdzie, lecz jakoś bez zapału — kapitan wydawał mu się nienormalnym.

Hatteras musiał bez wątpienia tę zmianę odczuwać, milczał jednak. Wiedział, że sprawa stoi na złej drodze. Zbliżała się zima, o której europejczyk słabe mieć może wyobrażenie. Załoga z trwo-

gą spoglądała na coraz bardziej gęstniejącą krę lodową, na lodowce, które gromadziły się w olbrzymiej ilości, choć znajdowano się nie w cieśninach, lecz już na pełnem morzu.

Tym razem groziła sytuacya bez wyjścia, o ile statek zatrzyma się, załodze grozi zimowanie wśród tych nieskończonych lodowych przestrzeni. Musianoby się zatrzymać aż do drugiego roku, do czasu, kiedy słońce znów poruszy lodowe masy i pozwoli na dalszą wędrówkę. Shandon przewidywał niemożliwość dotarcia do bieguna i istotnie w duchu przyznawał racyę majtkom, którzy proponowali powrót.

Wprawdzie kapitan myśli takie uznawał za zdradę sprawy, teraz jednak, kiedy węgla mogło wystarczyć najwyżej na trzy miesiące, zastanawiał się, czy dobrze postąpił, zapuszczając się tak daleko o tej porze.

Ale takie chwile trwały u Hatterasa bardzo krótko. Otrząsał się z nich, jako ze słabości, której wstydzić się należy. Kazał tedy palić węgle i usiłował posuwać się coraz dalej na północ. Załoga szemrała.

— Ogrzewać kotły!...

— Ale czem?

— Za dwa miesiące zabraknie nam węgla — krzyczał Pen.

— Czem my się ogrzewać będziemy przez zimę?...

— Spalimy okręt, aż do poziomu wody — wołał Gripper.

— A co potem?

Takie były myśli załogi, nic też dziwnego, że pewnego dnia maszynista Brunnton, idąc według rozkazu do pieców, został zatrzymany.

— Nie chodź, Brunnton!

— Pamiętaj, że gdy spalisz węgiel, wszyscy zginiemy z zimna.

Kapitan ukazał się na pokładzie. Mimo to krzyki nietylko że nie osłabły, ale jeszcze się wzmogły.

— Zgasić ogień! Stać!

Hatteras blady, z gorączkowo błyszczącemi oczami usiłował opanować sytuacyę.

— Załoga, rozejść się! — zawołał.

Ale słowa te przebrzmiały bez wrażenia. Nikt się nie ruszył z miejsca, tylko w oczach ludzi znać było gniew i nienawiść do człowieka, który wywiózł ich aż tutaj, na koniec świata, na powolne konanie zdala od domów ojczystych i rodzin.

— Brunnton, do kotłów! — zakomenderował kapitan.

— Brunnton, nie chodź... — odezwał się głos z gromady.

Hatteras zbladł jeszcze bardziej.

— Kto to powiedział? — zapytał, szukając wzrokiem winowajcy.

— Ja powiedziałem! — zawołał bezczelnie Pen.

— Związać tego człowieka! — rzekł zimno kapitan.

Nikt się nie ruszył. Czuć było w powietrzu grozę katastrofy. Hatteras wydobył rowolwer i stał jak pogromca wśród zbuntowanych bestyi. Z miny Pena wyczytać było można, że gdyby nie bojaźń, rzuciłby się bez wahania na kapitana.

Tymczasem usłyszano już wrzawę i w kajutach. Doktór, Johnson i Simpson przybiegli dowiedzieć się, co się stało.

— Związać tego człowieka! — zawołał powtórnie kapitan.

Johnson i Simpson padeszli do majtka, który usiłował się bronić.

— Spokój! Ani minuty oporu, bo kula w łeb! — krzyknął groźnie Hatteras.

Wtedy dopiero Pen, czując wymierzoną przeciwko sobie lufę, pozwolił się związać i odprowadzić do kajuty, gdzie go zamknięto na klucz.

— To marny człowiek ten Pen! — odezwał się doktór, gdy wreszcie sam został z kapitanem na pokładzie.

— Jeszcze nigdy chyba tak blizko śmierci w oczy nie zaglądał — rzucił z zimną krwią Hatteras.

Pomimo że bunt narazie stłumiono, Hatteras przeczuwał jeszcze groźniejsze sytuacye. Ale rady już nie było. Teraz należało za wszelką cenę przeć naprzód, na odwrót nie było już czasu. Zapas węgla zmniejszał się z dniem każdym, natomiast zwiększały się kłopoty kapitana, który zaryzykował życie swych ludzi. Sądził, że morze będzie wolne od kry i lodowców, na to liczył, dlatego z takim nakładem sił i pracy przedzierał się przez cieśniny. Tymczasem morze w krótkim czasie pokryło się przeszkodami, których ilość z dniem każdym wzrastała.

Shandon i Wall dawniej jeszcze przepowiadali kapitanowi niepowodzenie, teraz tryumfowali, ale był to tryumf smutny. Choć był to dopiero początek września, temperatura spadała coraz niżej. Mrozy dochodziły już do 20 stopni i statek z wielkim trudem posuwał się naprzód. Wreszcie stało się to, co było do przewidzenia. Statek, otoczony z wszystkich stron lodem, stanął wreszcie i żadna siła nie mogłaby go była już poruszyć.

Nie było innej rady. Należało się pogodzić z losem i przezimować.

Naokoło, jak okiem sięgnąć, widać było tylko lodem i śniegiem zasłaną przestrzeń, ani kawałka wody, ani odrobiny rozmaitości w jednostajnym pejzażu.

A gorzej jeszcze było w duszach ludzkich. Stalsi duchem widzieli już na tle lodowców majaczące blade widma śmierci, która wydawała im się nieuniknioną.

Obecnie, kiedy już statek stał nieruchomo, można było porobić oszczędności na węglu, ale w najlepszym razie starczyłoby go do grudnia, czyli na jedną trzecią część zimy. A potem co? W jaki sposób powrócą do kraju, jeżeli spalą statek na opał? Przygnębienie było ogólne. Zaledwie paru, jak doktór, Johnson, Simpson, no, i kapitan nie okazywało trwogi.

Co było najbardziej przykre, to to, że we współżyciu załogi brak było harmonii. Od owego pamiętnego zajścia z Penem, załoga spoglądała na Hatterasa z bojaźnią i niechęcią. Obecnie w chwili, gdy jednomyślność i pogoda ducha mogłyby wiele w nieszczęśliwem położeniu polepszyć, ludzie chodzili, jakby obcy dla siebie, każdy ze wzrokiem ponuro w dół skierowanym. Daremnie doktór, tak ogólnie lubiany, usiłował swoim humorem dodać upadłym na duchu otuchy.

Zimowanie było już nieuniknioną koniecznością. Hatteras z doktorem oglądali położenie statku, by porobić na przebycie zimy pewne przygotowania. Postanowiono tedy urządzić dookoła wał ze śniegu i lodu, któryby bronił statek przed naporem wichru i śniegu. Następnie postanowiono obrąbać przylegający do statku lód, by ciśnieniem nie uszkodził budowy. Do prac tych wzięto się natychmiast i załoga ożywiła się trochę.

Hatteras ułożył plan dnia, którego musiano się ściśle trzymać. Ta pewna systematyczność zajęć odrywała ducha od ponurych myśli, a owoce pracy mogły dać nadzieję lepszej przyszłości.

Zdrowie zależy w znacznej mierze od jakości pożywienia — a potrzebny dla organizmu rodzaj jedzenia zależnym jest od klimatu. O ile mieszkaniec okolic podzwrotnikowych może się zadowolnić kawałkiem owocu i mącznego placka, o tyle eskimos potrzebuje znacznej ilości pożywienia i to mięsnego.

Clawbonny usiłował to majtkom wytłómaczyć.

— Jak piec, tak i żołądek — mówił — potrzebuje opału. Rzecz to niezbędna dla otrzymania koniecznej ilości ciepła. Postarajmy się utrzymać jak najwyższą temperaturę wewnętrzną, a może brak węgla nie da nam się tak dotkliwie odczuwać. Eskimos musi spo-

żyć dziennie 10 — 15 litrów rybiego tłuszczu — starajmy się go naśladować.

Jednocześnie zwrócił stary uczony uwagę i na stronę zdrowotną. Każdy z załogi musiał codziennie brać kąpiel w nawpół zamarzniętej wodzie, by hartować skórę i cały organizm na wpływy temperatury.

Wśród różnorodnych zajęć upływał czas dosyć szybko i niespostrzeżenie nadszedł październik, a z nim silniejsze mrozy i śniegi.

Ostatni kawałek węgla.

By zaoszczędzić paliwa, urządzono na pokładzie „Naprzodu“ coś w rodzaju dwóch izb, połączonych z sobą korytarzem. Z korytarzu wychodziło się na dwór przez drzwi zaopatrzone skórami od zimna. Na korytarzu rozbierano się też zwykle i pozostawiano zaśnieżone zwierzchnie ubrania, by jak najmniej zimna wprowadzać do schronisk.

Jedną z izb zajmowali oficerowie, drugą załoga; ale gdy zauważono, że i w ten sposób dużo węgla wychodzi, złączyli się wszyscy u jednego ogniska.

Czas płynął jednostajnie.

Czasami ukazywały się w pobliżu niedźwiedzie, na które urządzano zaraz obławy. Z innej zwierzyny spotykano od czasu do czasu białe lisy, zające, a w przeręblach lodowych foki i morsy.

Hatteras zalecał polowanie, albowiem oprócz rozrywki dawało ono i realne korzyści w postaci mięsa, tłuszczu i futer.

Ale część załogi, której Pen przywodził, przykładała się z niechęcią do wszelkich wogóle ćwiczeń fizycznych, pomimo rad doktora, który wyjaśniał im konieczność ruchu i ćwiczenia ciała z punktu widzenia lekarskiego. Rady doktora nie skutkowały. Ludzie ci kręcili się tylko jak błędni wokoło ogniska, lub leżeli na posłaniach, owinięci szczelnie w wełniane kołdry. To też mimo usilnych starań doktora, który codziennie rozdzielał wśród wszystkich sok cytrynowy i wapienne pastylki choroba wybuchła.

Był to znany szkorbut, choroba wynikająca z braku świeżego pożywienia. Objawy tej choroby są straszne. Ból wszystkich mięśni, żył, nerwów, połączony z gniciem i krwawieniem dziąseł.

Z 18-tu ludzi, składających załogę statku w krótkim przeciągu czasu 13-tu zapadło na zdrowiu.

Schronisko przemieniło się odrazu w szpital. Clawbonny z wielkiem poświęceniem oddał się pielęgnacyi biedaków. Serce krajało się nieraz z bólu, bo niezawsze mógł dopomódz w cierpieniach. Jak duch opiekuńczy, kręcił się od jednego do drugiego, dodawał otuchy, pocieszał, czytał na głos książki, lub z pamięci opowiadał rozmaite interesujące zdarzenia, aby ulżyć cierpieniom biedaków. Sam trzymał się dzielnie. Gimnastyka, kąpiele, praca, podtrzymywały dzielnego uczonego przy zdrowiu, tak, że nawet na odrobinę nie zeszczuplał. Również zdrowo trzymał się Hatteras, Johnson, Pen i Simpson. Reszta oprzeć się nie zdołała.

Smutny to był widok, tem smutniejszy, że węgla pozostało już zaledwie kilka kawałków, po których spaleniu oczekiwała wszystkich śmierć z zimna.

I chwila ta istotnie nadeszła. Spalono ostatni kawałek węgla. Wszyscy w ponurem milczeniu patrzeli w dogasające ognisko.

Kapitan, pogrążony w myślach, najmniej zdawał się na to zwracać uwagi.

— Kapitanie! — zagadnął pierwszy Shandon.

Hatteras odwrócił wolno głowę w kierunku pytającego i czekał na dalszy ciąg.

— Jeżeli zamiarem pańskim było nas zamrozić, to uda się to panu w zupełności.

Mimo gorzkiej ironii, jaka dźwięczała w słowach byłego komendanta, Hatteras nie ruszył się, tylko jakby do siebie samego rzekł:

— Każdy niech do końca czyni swoją powinność...

— Czyniliśmy ją, teraz czas i o sobie pomyśleć! — rzucił ostro komendant.

— Pan widzisz, że ogień wygasa, a ogień, to w danej chwili życie dla nas. Co będzie z nami jutro?

— Ja nie mam drzewa — odparł Hatteras.

— Jeżeli pan go nie ma, to go sami znajdziemy, umierać nie chcemy! — odezwał się groźnie Pen.

— Co myślisz przez to?... Gdzie masz drzewo?... — zapytał blady z gniewu Hatteras.

— Na pokładzie! — odrzekł hardo majtek.

— Jeżeli okręt nie może nieść nas już dalej, spalimy go!

Kto spojrzał na nieszczęśliwego kapitana, ten przerazić się musiał, tak okropnie wyglądał w tej chwili.

Zerwał się z miejsca, oczy płonęły mu, ja dwa ognie. Z siekierą, którą znalazł pod ręką, rzucił się na Pena, lecz towarzysze zasłonili zdrajcę własnemi piersiami.

Doktór zdołał wreszcie uspokoić kapitana, odebrał mu śmiercionośne narzędzie i odprowadził na bok.

— Ognia! Na miłość Boską ognia! — jęczeli nieszczęśliwi chorzy.

Hatteras powstrzymał się z widocznym wysiłkiem i panując już nad sobą, zimno zapytał:

— A jak spalimy okręt, to co wtedy? Jak powrócicie do domu?...

— Kapitanie! — odpowiedział Johnson,—możemy spalić części mniej potrzebne, pokład górny, drzwi, poręcze, schody...

— W ostatecznym razie pozostaną szalupy. . — dodał Shandon.

— Możemy z resztek wybudować mniejszy statek — odezwał się jeden z majtków.

Hatteras stał chwilę milcząc, wreszcie zerwał się:

— Nie! nigdy, przenigdy! Nie pozwolę na to, zabijcie mię raczej!

— Ależ, kapitanie! — zawołał wzburzony Shandon.

— Mamy jeszcze duży zapas spirytusu. Palcie spirytus!

Porobiono wkrótce szerokie knoty z sukna i porozlewano spirytus w rozmaite płaskie naczynia, by tylko osiągnąć największą ilość płomieni.

Wszyscy widzieli jednak, że to nie na długo wystarczy. A na dworze mróz ściskał szalony.

Doktór ku przerażeniu swemu naliczył 52 stopnie niżej zera.

— Czy uda im się wytrzymać taką temperaturę, to pytanie!— myślał uczony.

Dni upływały wolno, jak zwykle w nieszczęściu, aż wreszcie nadszedł 25-ty grudnia.

Clawbonny zebrał resztę odwagi i udał się do kapitana, którego zagadnął w te słowa:

— Hatterasie! brak spirytusu oznacza śmierć naszą.

— I cóż ja na to poradzę? — odparł twardo kapitan, wiedząc o co idzie uczonemu.

— To stać się musi... — rzekł łagodnie doktór.

— Nigdy! — odrzekł stanowczo kapitan.

W tej chwili dobiegły do ich uszu odgłosy uderzeń siekiery. To okręt zaczęto rąbać.

Doktór spojrzał trwożnie w twarz kapitana. W oczach jego zamigotały łzy...

Na dobitkę był to dzień Bożego Narodzenia, dzień, który ze wszystkich świąt ma znaczenie najdonioślejsze. Każdy z biedaków pogrążył się w bolesnej zadumie. Myślą pobiegli do ojczystej Anglii, gdzie w dniu tym zbiera się wszystko wokoło domowego ogniska. Widzą oni w wyobraźni to, co się tam dzieje: Widzą matkę, kręcącą się koło suto przysmakami świątecznemi zastawionego stołu — choinkę, jarzącą się dziesiątkami kolorowych światełek.—I czego tam niema? Wszystko, czego dusza dziecinna zapragnie...

Stary ojciec uśmiecha się dobrotliwie, spogląda szczęśliwym wzrokiem na rozbawioną dziatwę... O, jakże to wszystko dalekie od rzeczywistości!...

Wilgotna mgła wypełnia schronisko. Na posłaniach, skuleni jeden obok drugiego, jęczą chorzy biedacy, zapatrzeni w nikłe płomyki spirytusowego ognia.

Jeden doktór nie rozpacza. Roznosi wśród chorych filiżanki gorącej herbaty, usiłuje żartami rozbawić ponurych majtków, wlać w zwątpiałe serca choć odrobinę otuchy.

W podobnem położeniu nadszedł i minął rok nowy. Mrozy trwały bez przerwy.

Pieszo.

Hatteras wyczytał niegdyś w pamiętnikach Edwarda Belchera, podróżnika do bieguna, któremu udało się również bardzo daleko posunąć na północ, że jakoby w okolicy położonej o jakieś sto mil od miejsca, w którem znajdował się obecnie „Naprzód“, leżą osady Eskimosów, doskonale zaopatrzone w węgiel i inne materyały palne.

Hatterasowi myśl ta nie dawała spokoju i zwierzył się z nią razu pewnego doktorowi.

— O sto mil od nas węgle, doktorze! — zagadnął.

Uczony popatrzył na mapę i pokręcił powątpiewająco głową.

— Sto mil! — odrzekł. — Sto mil w jedną stronę, sto z powrotem, razem dwieście.

Hatteras popatrzył mu badawczo w oczy — spojrzał parę razy na mapę, wreszcie zerwał się szybko z krzesła i począł biegać z jednego kąta izby w drugi.

Załoga przeważnie spała. Kapitan, błądzący wśród niebieskawych płomieni spirytusowego ognia, wyglądał jak duch. Stary uczony stał spokojnie, oparłszy się o stół.

— No, i cóż, Hatterasie?—zagadnął wreszcie.

Hatteras przystanął znów, popatrzał w poważne źrenice doktora, znać było, że waży jakąś myśl, która go całkowicie opanowała. Podszedł wreszcie do mapy i ołówkiem zaczął znaczyć punkty i obliczać.

— Trzysta mil jeszcze, doktorze! Trzysta, tylko trzysta!...

Clawbonny milczał.

Co Hatteras miał na myśli, nie wiedział, czuł tylko, że zdecydował się na jakiś krok stanowczy. Nie nalegał jednak pytaniami, tylko czekał, aż kapitan uspokoi się i sam zacznie. A Hatteras chwilę jeszcze myślał, przysłoniwszy sobie oczy ręką, wreszcie wziął mapę i pokazując uczonemu punkty, cicho rzekł:

— A gdybyśmy tak zamiast ryzykować czas i siły na poszukiwanie węgla, posunęli się odrazu do celu? Co pan na to?

— Pieszo? — zapytał uczony.

— Pieszo! Mamy zresztą kilka par psów pociągowych, sanki!...

W oczach zabłysł mu ogień zimnego postanowienia. Czuć było, że już nic go od powziętego zamiaru odwieźć nie zdoła.

— Trzeba tylko załogę uspokoić. Po węgiel pójdę na kraj świata.

— Ależ... kiedy to wszystko prawie ruszać się nie może, chore... — rzekł doktór.

— To też wszyscy iść nie potrzebują. Wystarczy trzech, czterech...

Przez chwilę panowała cisza. Błękitne płomienie lizały cicho rozlany w naczyniach spirytus — kiedy niekiedy któryś z chorych jęknął głucho lub poruszył się na posłaniu.

— W imię nauki poświęciłem tych ludzi — zagadnął cicho kapitan. Nie mogę upaść na progu, to by było za mało za tę cenę!...

Głos Hatterasa drżał trochę. Była to, jakby spowiedź przed własnem sumieniem; to też stary uczony nie przerywał mu. Dopiero gdy umilkł i znów zapadł w zadumę, Clawbonny zbliżył się doń z wyciągniętą dłonią:

— Na mnie możesz pan liczyć — rzekł — idę za tobą choć na koniec świata...

Hatteras uścisnął mu prawicę, mówiąc:

— Tylko roztropnie poczynać, doktorze!... Wyprawa po węgiel, rozumiesz pan?

Na ustach zjawił mu się dziwny uśmiech, oczy patrzały w dal. Przed oczyma duszy widział już może ów upragniony cel, do którego z taką wytrwałością dążył.

Na drugi dzień oznajmiono załodze o projekcie. Wysłuchała go w milczeniu, bez entuzyazmu. Co mogło to obchodzić tych nawpółzmarzniętych biedaków, którzy ruszać się nie mogli, że tam, gdzieś o sto mil znajduje się węgiel?

Czy się znajduje?

Była to obojętność ludzi chorych, którzy, zrozpaczeni i zniechęceni, zwątpili we wszystko. Mimo to Hatteras żwawo krzątał się koło przygotowań.

Za dwa dni miano wyruszyć, należało tedy zwijać się z robotą, bo każdy dzień wydawał się drogim. Wyprawa trwać miała najwyżej 40 dni i składać się z czterech osób.

Główną uwagę zwrócił Hatteras na sanki, które musiały zastąpić statek. Po namyśle wybrał formę grenlandzką, 35 cali szerokie i 24 cale długie, o płozach dobrze z obu końców zaokrąglonych. Sanki takie lekko przeciskają się przez śnieg i również dobrze posuwają się po lodzie. W miarę potrzeby, stosownie do grubości warstwy śnieżnej, można je było podwyższyć. Zaprzęg składał się z sześciu psów grenlandzkich, które nabyto jeszcze w Upernawik. Dzielne te zwierzęta mimo niepokaźnego wyglądu są bardzo silne i wytrzymałe na podbiegunową pogodę Doskonale znoszą mrozy jak i zawieje śnieżne.

Jako główny sprzęt obozowy zabrano składany namiot futrzany, który miał służyć podróżnym za schronisko do snu. Zapakowano również lekkie czółno eskimoskie, które nieraz przydać się mogło.

Zapasy żywności składały się z 450 funtów pemikanu, licząc po funcie dziennie na osobę i jednego psa. Pemikan jest to rodzaj konserwy mięsnej, bardzo pożywny, zaleca się ścisłością, co przy braku miejsca na saniach, ma znaczenie bardzo duże. Zabrano jeszcze 12 balonów spirytusu i piecyk do gotowania. Wyniosło to razem z herbatą, sucharami, sokiem cytrynowym i innemi zapasami około 200 funtów wagi. Oprócz tego zapakowano odpowiednią ilość kul, prochu, waty, knotów, oraz kilka strzelb, parę pił, siekierę i t. p.

Johnson zwrócił baczną uwagę na długie drewniane łyżwy, zwane „ski", przy których pomocy można się bardzo łatwo i szybko posuwać po śniegiem usłanych polach.

Jednocześnie Hatteras rozmyślał nad wyborem towarzyszy, których potrzebował trzech. Przedewszystkiem padł wybór na dokto-

ra, który przy swojem zdrowiu mógł doskonale znosić wszelkie trudy i niewygody podróży.

Shandon i Wall, jako chorzy, musieli być odrazu wykluczeni.

Johnson był zdrów i miał wielką ochotę uczestniczyć w wyprawie, ale co do niego, miał kapitan specyalną myśl w głowie, wziął go też na bok, mówiąc:

— Johnson! Ciebie mam jednego, któremu mogę całkowicie i niepodzielnie zaufać. Musisz pozostać na pokładzie i objąć kontrolę nad Shandonem i innymi. Przez zimę, póki są do lodu przykuci, muszą tu siedzieć, ale gdy tylko lody się ruszą, któż ich zatrzyma? Twej opiece, Johnson, oddaję statek! Drzewo mieć musicie, ja to rozumiem, ale pamiętaj, oszczędzajcie w miarę możności mój biedny „Naprzód"!

— Rozumiem, kapitanie! — odrzekł Johnson,—jeżeli trzeba, pozostanę tu na straży.

— Dziękuję ci, przyjacielu! — odrzekł Hatteras, ściskając dzielnemu towarzyszowi rękę.

— Doktór udzieli ci wskazówek, jak pielęgnować i doglądać chorych, musisz go zastąpić.

Johnson słuchał w skupieniu.

— Jeszcze jedna rzecz—zagadnął kapitan.—Wyprawa nasza nie powinna potrwać dłużej nad 4 — 5 tygodni, ale może się zdarzyć wypadek, nieszczęście jakieś, rozumiesz mię, Johnson?... Otóż gdyby nadeszła wiosna, a nas nie było, to nie czekajcie już dłużej. Wracajcie z powrotem. Pozdrów wtedy ode mnie mą ukochaną ojczyznę i pożegnaj!

W oczach porucznika zakręciły się łzy.

— Czy to twoje niezłomne postanowienie, kapitanie?—zapytał.

— Tak! — odrzeł krótko Hatteras.

Rozmowa była skończona.

Na pozostałych dwóch towarzyszy wybrano Bella i Simpsona. Obaj cieszyli się jak najlepszem zdrowiem, obaj należeli do wyjątków załogi.

Wreszcie nadszedł dzień odjazdu. Było pochmurno i śnieg pruszył, ale temperatura podniosła się trochę, mróz zelżał.

W milczeniu karmiono psy i ładowano na sanie zapasy. Chorzy ożywili się trochę i prosili odjeżdżających o szybki powrót. Tylko na ustach Shandona igrał ironiczny uśmiech. Zresztą milczał. Podróżni pożegnali się, poczem zaprząg ruszył, postępowano dosyć żwawo. Johnson odprowadził towarzyszy z pół mili od statku.

— No, wracaj, Johnsonie!—rzekł kapitan. — Wracaj, tam teraz twoje miejsce! Jeden musisz nas wszystkich zastąpić!

Johnson żegnał się. Statek widać było jeszcze jak na dłoni. Ruszono naprzód. Śnieg zaczął padać coraz gęstszy i przesłonił całą okolicę. Hatteras raz jeszcze obejrzał się w stronę ukochanego statku. Nie było go już widać. Szli szybko, by się rozgrzać. Śnieg prószył coraz gęstszy, tuż zaraz zasypując ślady.

Koniec części pierwszej.



Przeciw jednej z największych plag ludzkości.

Trzej apostołowie wstrzemięźliwości.

W historyi ruchu wstrzemięźliwości zajmowało duchowieństwo katolickie zawsze wybitną rolę. Znajdujemy tam nazwiska, przed któremi nawet w kołach innowierców pochylają czoło. Nie zamierzamy tutaj wyliczać wszystkich. Warto wszakże wyszczególnić trzech, których nazwać można prawdziwymi apostołami wstrzemięźliwości.

Ktokolwiek choć pobieżnie zapoznał się z historyą ruchu antyalkoholicznego, temu nie będą obcemi nazwiska tych trzech mężów: O. Teobalda Mathew'a, kardynała Manninga i biskupa Eggera. Pierwszy z nich pozostał przez całe życie ubogim zakonnikiem, dwaj ostatni zajęli wybitne miejsca w hierarchii kościelnej. Choć w charakterze i zdolnościach ich zachodziły głębokie różnice, to jednakowoż w walce z pijaństwem w końcu do jednakowych doszli przekonań. Każdy z nich z początku i własnym przykładem i słowem ludzi nakłaniać się starał do umiarkowanego używania alkoholu, aby w końcu chwycić się broni ostrzejszej — i jak się okazało, skuteczniejszej bezwzględnej wstrzemięźliwości czyli abstynencyi.

O. Teobald Mathew urodził się w roku 1790 w Thomastown, w Irlandyi. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich, podczas któ-

rych sam nieomal stał się ofiarą alkoholizmu, grasującego w całej Irlandyi, wstąpił do zakonu Kapucynów. W r. 1814 przyjął w Dublinie święcenia kapłańskie. Pierwszy czas pracy kapłańskiej spędził w Kilkenny, gdzie nie tyle wymową, ile swą niezwykłą gorliwością umiał sobie zjednać serca ludu. Niedługo pozostał w tej miejscowości. Na rozkaz przełożonych przeniósł się do większego miasta — do Cork. Tu dopiero poznał, jak dalece naród irlandzki zagrzązł w nałogu pijaństwa. — Postanowił pracować nad tem, aby uwolnić kraj od tego nieszczęścia.

Dnia 10 kwietnia 1838 r. zwołał zebranie, celem założenia pierwszego towarzystwa wstrzemięźliwości. Sam zapisał się jako pierwszy, wyrzekając się wszystkich upajających napojów na całe życie. Za jego przykładem poszło 95 innych. Od tej chwili wzmagał się ruch wstrzemięźliwości w niebywały sposób. Rósł z szybkością lawiny. Sam O. Mathew byłby się z pewnością czuł szczęśliwym, gdyby od samego początku mógł był przewidzieć, jak olbrzymie rozmiary przybierze dzieło przezeń rozpoczęte. Ziomkowie już wpierw poznali się na świętobliwym zakonniku, pokochali go dla prostoty życia, dla jego gorliwości i poświęcenia. Lud prosty ubóstwiał go nieomal. To też niedługo najwybitniejsi mężowie Irlandyi złączyli się z O. Teobaldem, aby dopomódz mu w rozpoczętem dziele wstrzemięźliwości. Powstały formalne gminoruchy, celem odwiedzenia apostoła w Cork. Każdy pragnął ujrzeć O. Mathew'a, prosić go o błogosławieństwo i złożyć w jego ręce obietnicę wstrzemięźliwości. „Komu“, pisze jeden z współczesnych, „O. Mathew położył ręce, błogosławiąc, na głowę i zawiesił medalik na szyję, ten na całe życie jest oddany sprawie wstrzemięźliwości, ten nienawidzi od tej chwili napoje upajające“.

W czerwcu r. 1840 liczyło stowarzyszenie O. Mathew'a dwa miliony członków. Pod koniec 1844 złożyło przeszło pięć milionów osób przyrzeczenie wstrzemięźliwości. Wydaje się to legendarnem, a jednak jest istotną prawdą. „Gdybym czytał w historyi — mówi protestant Smith O'Brien, że prosty zakonnik tak niebywały osiągnął skutek, uważałbym to za przesadę, lecz sam byłem świadkiem, jak tysiące ludu słuchało jego skinienia i wyrzekało się na jego rozkaz swej ulubionej namiętności.“

Takie masowe wyrzekanie się napojów wyskokowych musiało z natury rzeczy wywrzeć ogromny wpływ na ogólne stosunki kraju. Pozamykano wprawdzie wiele gorzelni, gdyż zamiast 12,296,000 galon w r. 1839 wypito w roku 1843 tylko 5,290,000 spirytuozów. Lecz w ślad za tem zmniejszyła się bardzo widocznie liczba występ-

ków. Liczba morderstw cofnęła się z 247 na 195 rocznie; różnych innych przestępstw kryminalnych z 12,049 na 7,101. Wyroków śmierci wydano zamiast 66 w roku 1839, tylko 14 w roku 1843.

Nie zadowolnił się gorliwy apostoł wstrzemięźliwości pracą w samej Irlandyi. W roku 1842 udał się do Szkocyi, a w r. 1843 do Anglii. I tu i tam skutek był podobny co w Irlandyi. W roku 1849 udał się na kilkakrotne zaproszenie do Ameryki, gdzie przyjmowano go wszędzie, jako cudotwórcę. Świeccy i kościelni dostojnicy robili mu najświetniejsze propozycye, aby go zatrzymać w Nowym Świecie. Lecz O. Mathew nie gonił za zaszczytami. Pozyskawszy około 600,000 nowych członków dla sprawy wstrzemięźliwości, wrócił do rodzinnego kraju. Wkrótce potem rozstał się z tem światem w Queenstown w r. 1856.

Jeszcze za życia apostoł wstrzemięźliwości patrzeć musiał na to, jak dzieło z takiem poświęceniem i zapałem dokonane dowoli w niwecz obracać się zaczęło. W r. 1845 i 46 zapanował w Irlandyi głód, który dziesiątkował ludność. Irlandczycy z rozpaczy poczęli wracać do dawnego pijaństwa. Zresztą i bez tego nie byłby się przez dłuższy czas utrzymał ruch wstrzemięźliwości, który powstał nagle i sztucznie nieomal, pod wpływem czarującym potężnej osobistości.

Nie doczekał się tak olbrzymich, choć krótkotrwałych owoców swej pracy drugi apostoł wstrzemięźliwości, kardynał Manning. — Henryk Edward Manning, późniejszy kardynał i arcybiskup westminsterski, urodził się w r. 1807 z rodziców anglikańskiego wyznania. W r. 1850 przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Postępując szybko po stopniach hierarchii kościelnej, został w roku 1865 arcybiskupem Westminsteru i prymasem w Anglii, a w r. 1878 kardynałem. Mając w Londynie aż nadto sposobności przypatrzenia się z blizka nędzy pijaństwa, prcował gorliwie nad zmniejszeniem tej plagi. Pewnego razu próbował nakłonić robotnika do wyrzeczenia się wódki. — „Chętnie, milordzie, wyrzekłbym się wódki“, — odparł robotnik, — „gdybym miał na takie wina, jakie miłość wasza pije“. — „Niech milord przestanie pić wino, a ja to samo uczynię z wódką.“ — „Masz słuszność,“ — odparł kardynał. „Od tej chwili nikt nie ujrzy mnie przy kieliszku wina“. I dotrzymał obietnicy aż do śmierci. Kardynał Manning pracował dla idei wstrzemięźliwości już więcej w duchu nowoczesnym, aniżeli O. Mathew. Dla tego skutki jego pracy, choć nie tak świetne, jak u tamtego, były więcej trwałe.

Umierając, mógł wskazać na zastęp 28,000 zwolenników bezwzględnej wstrzemięźliwości w samym Londynie.

Augustyn Egger, książę biskup z St. Gallen, pracował aż do śmierci, jako gorliwy zwolennik zasady zupełnej wstrzemięźliwości. Znanym jest z tej pracy daleko po za granicami swej ojczyzny, Szwajcaryi. Była w tym dostojniku Kościoła niepospolita inteligencya obok niezłomnej siły woli. Napisał znaczną ilość dzieł, w których rozbiera nowoczesny ruch antyalkoholiczny. Wszystko, co napisał ks. biskup Egger, oznacza się prostotą i jasnością stylu i nader logicznem rozumowaniem. Dostojny książę kościoła był niewątpliwie jednym z najgorliwszych biskupów katolickich — lecz to mu nie przeszkadzało, aby w sprawie ruchu antyalkoholicznego stać zupełnie na gruncie zasad nowoczesnych. — Uważa alkoholizm nietylko jako występek, ale przedewszystkiem, jako chorobę społeczną, którą zwalczać, potępiać, ale nadewszystko trzeba leczyć.

Naszkicowaliśmy pokrótce działalność trzech apostołów wstrzemięźliwości, którymi słusznie chlubi się nasz Kościół katolicki, aby wykazać, że i w sprawie ruchu wstrzemięźliwości my, katolicy, nie zajmujemy tak pośledniego miejsca, jak nam nieraz zarzucają, a powtóre, aby podkreślić ten fakt, że Kościół nasz w różnych czasach różnych używał środków dla dobra swych owieczek. Inaczej pracował O. Mathew i kardynał Manning, inaczej pojmuje swe zadanie ks. biskup Egger. — Wszyscy trzej razem przecież zaliczają się do wiernych synów Kościoła — a nazwiska ich z wdzięcznością wiele będzie wspominać pokoleń.

Czyście już próbowali?

W Anglii, jak i u nas, przyjaciele trzeźwości na początku walczyli tylko przeciw gorzałce. Mierne używanie piwa i wina uważali za nieszkodliwe. Lecz zaraz przekonali się, że nie można wykorzenić pijaństwa i złych skutków z niego pochodzących, bez abstynencyi. Tylko abstynent, który nie pije ani gorzałki, ani piwa i wina, skutecznie może walczyć przeciw pijaństwu i przyczynić się do tego, żeby nie przeszły zwyczaje pijackie na nowe pokolenia. Alkohol bowiem w piwie i winie zawarty także jest trucizną szkodliwą. W Anglii musieli się ludzie o tem rychlej przekonać, bo tam piwo jest mocniejsze i więcej upijające, niż u nas. Tam piwo jest właściwym napojem robotników.

Ludzie, najpierw poczynający walkę przeciwko winu i piwie, nie byli to mężowie nauką, dostojnością i bogactwem znajomi, lecz po większej części prości robotnicy.

Tej walki nie poczęto w stolicy, lecz w miastach małych i wsiach. Sławnymi stało się siedmiu mężów z Preston, którzy 1-go września 1832 r. ślubowali nic nie pić, ani gorzałki, ani piwa, ani wina. Byli to prości ludzie, nie myślący sobie, że tyle milionów będą mieli naśladowców. Dopiero 14-go września 1835 r. odbyło się w Londynie pierwsze zgromadzenie, na którem walczono przeciw wszystkim napojom alkoholicznym. To zgromadzenie zwołał poseł Bunkingham i sam też opisał.

Już podczas mego odczytu, mówi Buckingham, widziałem grupę przyzwoicie ubranych i trzeźwych robotników, którzy stanęli blizko mnie jawnie z tym zamiarem, by brać udział w rozmowach.

Gdy skończyłem, jeden z nich prosił o słowo. Otrzymawszy słowo, mówił w sposób następujący:

„Przy ogłoszeniu zgromadzenia słyszeliśmy, że pan chce występować przeciw piciu piwa. Myśleliśmy, że to jest krzywdzeniem prawa i wolności ludu pracującego, jeżeli mu kto chce odebrać napój do zdrowia potrzebny. Dlatego przyszliśmy na to zgromadzenie, aby wystąpić przeciw panu, któregośmy uważali za nieprzyjaciela robotników. Zgadzam się na wszystko, co powiedziano o upajających palonych napojach. Mylą się ludzie, którzy od nich się spodziewają siły i zdrowia. Ale co się tyczy piwa, to przecie piwo, wedle mego zdania, jest napojem zdrowym i do życia potrzebnym. Nikt nie może pracować bez piwa tak ciężko, jak my codziennie pracujemy. Dlatego pytam się teraz: Czy też i piwo nie jest potrzebne dla nas robotników? Czy i my mamy porzucić piwo?

Buckingham na to pytanie odpowiedział, że doświadczenie dowodzi, że każdy, czy pracuje w polu, czy w kopalni, w werku, w hucie, fabryce, rzemiośle, może się obyć nawet bez piwa, a nareszcie się zapytał mówca i innych robotników:

— Czyście już próbowali?

— Nie! — brzmiała odpowiedź.

— Gdy bez własnego doświadczenia, powiedział Buckingham, o tem sądzić nie możecie, dlatego proszę was, żebyście z abstynencyą próbę zrobili, za miesiąc zaś się tutaj zgromadzili. Zostańcie abstynentami, dopóki się wam dobrze powodzi. Jeżelibyście ze szkodą bez piwa obyć się nie mogli, to abstynencyę zaniechać możecie.

Zgodzili się robotnicy na tę próbę.

Za miesiąc odbyło się drugie zgromadzenie. Ludzi było wielkie mnóstwo, bo wszyscy byli ciekawi, jak próba wypadła. Na zaproszenie Buckinghama powiedział mówca robotników: Od ostatniego zgromadzenia nikt z nas żadnego alkoholicznego napoju nie pił. W pierwszych dniach nam woda, jako napój, bardzo nie smakowała, przerzuciliśmy się do kawy, albo herbaty na śniadanie. Lecz przyznać musimy, że pierwszej soboty nie czuliśmy się tak słabymi, jak innym razem. A w niedzielę rano nie byliśmy niewyspanymi i nie leżeliśmy kilka godzin dłużej w łóżku, jak dawniej, lecz powstaliśmy tak wcześnie, tak czerstwo, jak w każdy inny dzień tygodnia, szliśmy przed południem do kościoła, po południu na przechadzkę i wieczór przepędziliśmy wesoło wśród rodzin i przyjaciół w domu. Podczas drugiego tygodnia woda, jako napój, już nam lepiej smakowała. Już nam się też nie chciało tak pić, jak przedtem, a oprócz przy jedzeniu bardzo mało piliśmy. W drugą sobotę i niedzielę jeszcze lepiej nam szło niż tydzień przedtem. Chęć do jedzenia była większa, trawienie nasze było lepsze, uczucie nasze było mniej drażliwe i wesołość i siła pomnożona. Próba tak dobrze wypadła, żeśmy się radowali tą próbą i coraz to z większą radością dalej ją prowadzili. Ani jednego dnia, ani jednej godziny pracy nie zaniedbaliśmy, nie było potrzeba, żeby nam coś odciągnięto od zarobku, tak, że na końcu czwartego tygodnia 30 — 40 marek mieliśmy więcej w kieszeni. Radujemy się, żeśmy słyszeli pierwszy odczyt o zupełnej abstynencyi. Dalej będziemy abstynentami. Zalecamy wszystkim robotnikom iść za naszym przykładem, a nie pić, ani gorzałki, ani wina, ani piwa.

Można sobie przedstawić, jakie wrażenie te słowa na słuchaczów zrobiły. Jedni przyklaskiwali, drudzy syczeli, inni zaś swą wściekłość innym sposobem okazywali. A gdyśmy wszystkiego spokojnie i wesoło wysłuchali, przeciwnicy się powoli oddalili, przyjaciele zaś zostali i po jednogodzinnym odczycie zgromadzenie zakończono.

Dodać jeszcze należy, że wódz robotników, który do nich mówił, T. A Smith, stał się mówcą bardzo skutecznie działającym przeciw pijaństwu, a swym przykładem i swojemi wykładami wiele się przyczynił do rozszerzenia abstynencyi.

A że się szerzyła w Anglii abstynencya, uczy nas następujący obraz, wyjęty z życia robotników angielskich.

W mieście Liwerpolu znajduje się wielki, piękny dom, gdzie się sami robotnicy z swemi żonami i dziećmi w niedziele i święta, albo też w wieczór po robocie schodzą, tam się bawią, grają, śpie-

wają, tańczą, czytają, rozmawiają, radzą, przechodzą się, jedzą, piją kawę, herbatę, różne soki owocowe, tylko trunków alkoholicznych ani kropli, ani szklanki piwa nie piją. Ten dom sami robotnicy abstynenci zbudowali. Zamiast pić, zaczęli między sobą zbierać składki, a ostatek przypożyczali. Dług się wnet odpłacił, a teraz im ten dom przynosi zysk wielki. Robotnicy mądrzy, abstynenci, zgodni, cudów dokazać mogą.

Miły czytelniku, nie chciałbyś też zrobić próby z abstynencyą?

Człowiek wszystko potrafi, jeżeli tylko chce.

Sławny Cambronne, jeden z najdzielniejszych generałów cesarza Napoleona I, począł swój zawód wojskowy od najniższych stopni. W roku 1765 był on jako kapral, czyli podoficer w Nantes, licząc ledwo 20 lat. Ognista krew płynęła w żyłach jego, a ponieważ Cambronne nadmiernie kochał trunek, łatwo pojąć można, że nieraz sobie pozwolił rzeczy, które rychlej, albo później zaprowadzić go musiały do nieszczęścia.

Rzeczywiście w stanie pijanym niegdyś się tak dalece zapomniał, że oficera, dającego mu rozkaz, uderzył w twarz. Stawiony przed sąd wojenny, wedle ostrego prawa, skazany został na śmierć. Lecz pułkownik jego pułku, który dobrze znał dzielność, odwagę i rozum skazanego, wysilał się jak mógł, aby go od śmierci uratować. Na błaganie pułkownika darowano Cambronne'owi życie, lecz pod tym warunkiem, żeby się już nigdy nie upił.

Z ułaskawieniem swego podwładnego podoficera w kieszeni, pułkownik udał się do więzienia do skazanego. Gdy Cambronne ujrzał swego pułkownika, wzruszony rzekł:

— Wiem, panie pułkowniku, wielce uchybiłem. Zapłacę za to życiem. Prawa wojenne są ostre. Nie mogę się spodziewać ułaskawienia. Muszę umrzeć.

— Przyjacielu — powiedział pułkownik, — nie musisz umrzeć. Przynoszę ci ułaskawienie. Karą twoja jest darowana, jesteś zaś moim podwładnym oficerem, ale pod warunkiem, że się już nigdy nie upijesz.

Cambronne zdziwiony patrzył na pułkownika, ale spuściwszy głowę, zatrwożony odpowiedział:

— Tego nie mogę, za wiele kocham flaszkę... Gdy pocznę pić, przestać nie mogę.

— Ale... — mówił pułkownik — wyrzec się musisz i wina.

— To trudne — powiedział podoficer, — co mi pan radzi, żadnego wina już nie pić, ani kropelki wina, nigdy, nigdy już nie pić! A chociażbym to obiecał, któż mi ręczy, że tego dotrzymam?

— Twoje słowo honorowe ręczy za to — odpowiedział pułkownik.—Znam cię dobrze. Jeżeli raz dasz słowo honorowe, to wiem, że go nie złamiesz.

To zaufanie dobry wpływ na Cambronne'a wywarło. Podniósłszy rękę, rzekł:

— Pan Bóg nas słyszy, przysięgam, że już wina, ani wódki, ani piwa pić nie będę, że nigdy w życiu ani kropelka wina nie przejdzie przez usta moje. Czy teraz pan pułkownik kontent?

— Doskonale, przyjacielu! — była odpowiedź wielce rozradowanego pułkownika. — Jutro będziesz wolny. Bądź dobrym żołnierzem, a poświęć ojczyźnie życie, które ci dziś darowała.

W 25 lat później Cambronne został generałem. W bitwie pod Waterloo komederował starą cesarską gwardyą i przy cofaniu się był okazał owe pamiętne bohaterstwo, które dziś jeszcze jest na ustach ludu francuskiego. Po upadku cesarstwa, opuściwszy służbę, spokojnie żył w Paryżu, od wszystkich szanowany i miłowany.

Dawniejszy jego pułkownik, któremu wiek i trudy wojny wielce były dokuczały, także był opuścił służbę. Pewnego razu, długo nie widząc generała, zaprosił go na obiad. Na cześć jego zaprosił też innych towarzyszów wojny. Miejsce honorowe było przeznaczone dla Cambronne'a.

Podczas obiadu pułkownik swemu gościowi nalał kielich bardzo starego wina, które troskliwie chował, a tylko przy nader wielkich uroczystościach wyszukiwał.

— Cóż pan chce? -- wołał generał rozdrażniony.

— Wyborne wino! — spokojnie odpowiedział pułkownik. — To wino już sto lat stare. Pewnie takiego nie można już znaleźć w Paryżu. Niech pan skosztuje, a przekona się o prawdzie słów moich.

Tedy Cambronne powstał, uderzył w stół gniewnie i zawołał:

— Co, ja kosztować miałbym tego wina, pułkowniku?... a moje słowo honorowe, a moja przysięga? Czy pan zapomniał o tem, albo co pan myśli o mnie? Od owej chwili żadna kropelka wina nie przeszła przez usta moje. Przysięgałem, a słowa mego dochowałem.

Zaprawdę, człowiek wszystko potrafi, jeżeli tylko chce. Jak dobrąby to było rzeczą, gdybyś i ty, Szanowny Czytelniku, dochował słowa, któreś dał Panu Bogu.

Przypomnij sobie ganerała Cambronne'a. Wszystko potrafisz, jeżeli tylko chcesz.

Sen.

— Żono, cóż to znaczy, jeżeli się śni o szczurach? — pytał się szkocki robotnik przy śniadaniu swojej żony i opowiadał jej, że we śnie widział 4 szczury biegające w pokoju. Pierwszy był spasły, jak kot, dwa inne były takie chude, że się o mało nie złamały, a czwarty był ślepy.

Nie namyślając się długo, żona potrafiła wytłómaczyć sen:

— Spasły szczur, to karczmarz, któremu nosisz twoje pieniądze. Dwa chude szczury, to ja i dziecię moje, a ten ślepy szczur, toś ty sam.

Zaprawdę, tylko ślepota, to jest brak oświaty może być przyczyną, że ludzie tyle pieniędzy wyrzucają na truciznę alkoholową.

(D. c. n.)



Marcin Kopiec.

Z HISTORYI ŚLĄSKA.

Walka z luteranizmem.

Ciąg 10.

Inkwizytorowie śląscy: Peregrin, Schwenkfeld i Apeczko.—Mnich Marcin szerzy herezyę. — Konsulowie wrocławscy. — Rodzina Apeczki w więzieniu. — Schwenkfeld rzuca klątwę na ratusz i miasto. — Margrabia Karol. — Zamordowanie Schwenkfelda w Pradze Czeskiej.

Jak wyżej wzmiankowaliśmy Stolica Apostolska powierzyła OO. Dominikanom, jako światłym i wielkiej nauki mężom sądy ducho-

wne do sądzenia wszelkich spraw, tyczących się wiary katolickiej (inkwizycya). A chociaż w Śląsku tenże sąd duchowny nierozszerzył się tak, jak w innych krajach, to jednak zdarzały się pojedyncze wypadki, których pominąć nie należy. Wypadki takie zdarzały się przeważnie we Wrocławiu, jak o tem świadczy kronika.

W dawnych czasach wszelkie śledztwa tyczące się kacerstwa, a także i kary należały do biskupów, dopiero z biegiem lat, z nastaniem zakonu OO. Dominikanów czynności te Stolica Apostolska powierzyła temuż zakonowi.

Na początku XIV wieku (1308 r.), gdy Dulcyn wraz ze swoją towarzyszką, Małgorzatą, szerzyli na Śląsku swoje odszczepieńcze zasady o Duchu świętym, potępiając papiestwo i duchowieństwo, papież Klemens V wybrał na sędziego do spraw wiary inkwizytora, męża wielkiej nauki, wychowańca i profesora konwentu OO. Dominikanów krakowskich, Peregrina, który od roku 1305 sprawował rządy przeora klasztoru świętego Wojciecha, to jest OO. Dominikanów we Wrocławiu. Peregrin, syn ziemi opolskiej, rodem z Opola, był srogim sędzią. Dulcynistów wytępił, a przewódcę kacerza Dulcyna, wraz ze swoją towarzyszką Małgorzatą, z rozkazu Klemensa V żywcem spalono w Vercelli.

W drugiej ćwierci XIV wieku papież Benedykt XII mianował Jana Schwenkfelda inkwizytorem Śląska. Był to mąż wielkich zdolności i głębokiej nauki, posiadający niewyczerpane wiadomości teologiczne; przytem gorliwy kapłan i przykładny sługa Kościoła świętego. Jan Schwenkfeld pochodził z rodziny szlacheckiej i był synem ziemi świdnickiej, a jako wychowaniec konwentu OO. Dominikanów tamże, stał się nieustraszonym, a raczej surowym sędzią w sprawach wiary i z całym też zapałem zabrał się do wypełniania obowiązków, jakie papież Benedykt XII na niego włożył.

Służbę swoją zapoczątkował odezwą, wydaną do wszystkich proboszczów parafialnego obwodu wrocławskiego, w której upomina i rozkazuje, ażeby wszelkie rozporządzenia jego z całą akuratnością wykonywali.

Za czasów biskupa Nankera, który klątwę na miasto Wrocław rzucił, Schwenkfeld rozpoczął działalność swoją. Zadrżał i ręce zwiesił, dostrzegłszy, że Wrocław, to nietylko kolebka, ale raczej przytulisko wszelkiej herezyi i odszczepieńców Kościoła katolickiego, że mieszkańcy zepsuci zaprzestali czcić Boga, Syna i Ducha Świętego, że mieszczanie i wszelaka ludność rezydencyę Piastów — Henryków zamienili na jaskinię łotrów bez czci i wiary.

Jan Schwenkfeld, widząc, że praca za wielka, a siły za słabe, że sam jeden nie wydoła przeklarować tego fermentu, wrogo patrzącego na zakony i całe duchowieństwo katolickie, zażądał od stolicy apostolskiej do pomocy drugiego inkwizytora.

Papież Benedykt XII do prośby się przychylił i drugim inkwizytorem Śląska zamianował Apeczkę, scholastyka i oficyała we Wrocławiu.

Wrocławianie niewiele sobie robili z klątwy, którą biskup Nanker na nich rzucił. Klątwy tej się nie przestraszyli — lecz przeciwnie — z większą jeszcze zajadliwością rozpoczęli prześladować duchowieństwo i wiarę katolicką.

Starosta ziemiański Konrad Falkenhain wraz z konsulami wrocławskimi wygnali proboszcza kościoła świętej Maryi Magaleny i wielu innych kapłanów, dlatego, że kapłani ci trzymali stronę nieszczęśliwego biskupa Nankera, a miejsce proboszcza tegoż kościoła zajął mnich, cysters z Gruzowa (Grüssau), imieniem Marcin, którego konwent cystersów, jako kacerza, głoszącego fałszywe podstawy wiary świętej ze swego zgromadzenia wygnał.

Jego to kacerskie nauki, które z ambony kościoła świętej Maryi Magdaleny szerzył, zwróciły uwagę inkwizytorów śląskich: Schwenkfelda i Apeczki.

Głosił on pomiędzy innemi niedorzecznościami, że spowiedź nie ma znaczenia, że spowiadać się można każdemu bez wyjątku kapłanowi, choćby tenże był exkomunikatem, profanem, głupim zwierzęciem, a nawet choćby był samym dyabłem.

Aby zapobiedz tej niedorzeczności, głoszonej z ambony przez mnicha Marcina, inkwizytorowie śląscy, Schwenkfeld i Apeczko, przebywający wówczas u biskupa Nankera w Nissie, zażądali od konsulów wrocławskich stawienia mnicha Marcina przed sąd inkwizycyjny. W tym celu wysłali inkwizytorowie swojego agenta Jeszo'go do konsulów wrocławskich z odpowiednim rozkazem. Wrocławianie, obciążeni klątwą, niewiele sobie robili z rozkazu sądu duchownego i, zamiast wydać mnicha, wsadzili wysłannika Jeszo'go wraz z bullą cytacyjną do wieży pomiędzy złodziei. Był to krok wielce ryzykowny, ale i na nim niepoprzestano. Rodzinę inkwizytora Apeczki, to jest ojca, matkę i ciotkę wsadzono także do więzienia. Zawrzało w całym Wrocławiu. Rada miejska wiedziała, iż spadną nowe klątwy, lecz tych się nie lękano — klątwa już ich przerazić nie mogła.

W marcu 1340 roku cała Rada miejska podała się do dymisyi. Wybrano nową, składającą się z 8-miu radców czyli konsulów. Są-

dzono, że nowy zarząd miasta zaprowadzi nowy porządek, że nowi konsulowie stawią przed sąd inkwizycyjny niedowiarka Marcina, czego się też wybrany przez inkwizycyę prokurator Otto, gwałtownie domagał. Tymczasem wszelkie nadzieje zawiodły. Nowi konsulowie z większą jeszcze zaciekłością rozpoczęli walkę z władzą duchowną, aniżeli ich poprzednicy. Notaryusza Jana Günthera, pełnomocnika inkwizycyi, który plenipotencyę swoją konsulom doręczył i proces inkwizycyjny zestawił, ugruntował i podpisał, pochwycono i z miasta wraz z siostrą i prokuratorem Otto wygnano, a ruchomości, jakie posiadał, skonfiskowano i na licytacyi sprzedano.

Mnich Marcin jednakże w dalszym ciągu nie przestawał wygłaszać swoich odszczepieńczych zasad z ambony kościoła świętej Maryi Magdaleny. Zwolenników i zwolenniczek przybywało z każdym dniem coraz to więcej, już z tego powodu, że cała Rada miejska stanęła w obronie znienawidzonego kacerza.

Kapituła wrocławska, widząc, iż proces inkwizycyjny przeciw mnichowi Marcinowi nie doszedł do skutku, starała się wszelkiemi sposobami z pomocą swoich agentów pochwycić kacerza, lecz tenże — sprytny — zawsze im się z rąk wymykał. Tymczasem Rada miejska zemstę swoją posuwa coraz wyżej i mści się na całej rodzinie inkwizytora Apeczki. Ojcu konfiskuje majątek ziemski i dom we Wroławiu. Inkwizytorowi zabiera 40 ćwiertni żyta, a bratu 12 ćwiertni owsa. Konfiskatę tę Rada miejska przekazuje po wieczne czasy mieszczaninowi Janowi Wienerowi, za zasługi, jakie tenże położył w walce przeciw duchowieństwu katolickiemu.

Inkwizytor Schwenkfeld, przebywający w rezydencyi biskupiej w Nissie, nie mógł znieść tego niesłychanego bezprawia. Postanowił zatem w towarzystwie tajnych agentów udać się do Wrocławia i tam w Radzie miejskiej osobiście zażądać zwrotu konfiskowanych majątków Apeczki i wypuszczenia aresztowanych z więzienia. Zjawienie się inkwizytora Schwenkfelda w Radzie, bynajmniej konsulów nie zraziło. Aresztowanych wprawdzie wypuszczono, ale zwrotu konfiskowanych majątków odmówiono. Wobec tej odmowy Schwenkfeld zapozwał całą Radę, składającą się z 8 miu konsulów przed sąd inkwizycyjny w Nissie. Rada pozwę z oburzeniem odrzuca i do Nissy na sąd się nie stawia.

Oburzony temże nieposłuszeństwem Schwenkfeld na mocy apostolskiego upoważnienia rzuca klątwę nietylko na konsulów, ale i na cały ratusz wrocławski...

I posypały się obustronnie skargi i zażalenia do Pragi — do tronu króla Jana i do syna margrabiego Karola. Syn królewski Ka-

rol zawezwał powaśnionych do siebie. Stronnicy przybyli... Schwenkfeld stanął w klasztorze OO. Dominikanów.

Dnia następnego, o zmroku, kiedy Schwenkfeld w swojej celce kazanie studyował, które tamże w kościele OO. Dominikanów miał wygłosić, stanęło przed obliczem jego dwóch przyzwoicie ubranych mężczyzn.

— Myśmy zawinili przeciw duchowieństwu i przeciw wierze naszej — rzekli — pragniemy się wyspowiadać i odpokutować za grzechy nasze...

Zrazu inkwizytor z niedowierzaniem spoglądał na obcych przybyszów, ale widząc w nich skruchę i pokorną podstawę, rzekł:

— Dobrze. I wziąwszy z wieszadła stułę, usiadł na krześle, nastawiając ucha...

W tym to momencie błysnęły mordercze narzędzia i trzy sztylety zatopiono w sercu inkwizytora. Sprawcy zbrodni wyszli niepostrzeżenie. Podejrzenie padło na konsulów wrocławskich, którzy przekupionych morderców mieli nasłać do zamordowania inkwizytora. Śledztwo nie doprowadziło do żadnego rezultatu. Konsulowie oczyścili się przysięgą.

Zniesienie klątwy. — Ostatnia działalność inkwizycyi świętej na Slązku.

Margrabia Karol — jak wyżej streściliśmy, przeprowadził biskupa Przecisława z wielką uroczystością z Nissy do Wrocławia, gdzie w kościele świętego Jakóba przy napływie wielkiej ilości ludu zdjęto klątwę z jego rodzica, króla Jana. Większą i wspanialszą uroczystość urządzili mieszkańcy miasta, gdy tenże biskup Przecisław zdejmował klątwę w kościele OO. Dominikanów z konsulów, ratusza i ludności. Takiej uroczystości świat jeszcze nie widział.

W tymże uroczystym i pamiętnym dniu, w kościele OO. Dominikanów zgromadzili się na około biskupa: margrabia Karol, — Bolesław, książę na Brzegu i Lignicy,—Władysław, książę bytomski,— Bolesław, książę ziembicki, — Bolesław, książę opolski i wielu znakomitych rycerzy...

Z ratusza wysunęła się Rada miejska, czyli konsulowie. Szli z odkrytemi głowami, boso, bez płaszczów i bez pasów. Pochód posuwał się wolno, przez rynek, ulicę Wojciecha ku kościołowi OO. Dominikanów, przed którym wyczekiwał biskup Przecisław z prześwietnem zgromadzeniem.

Przed obliczem biskupa konsulowie zgięli kolana, padli do nóg i do głębi wzruszeni błagali o przebaczenie. Biskup Przecisław, odebrawszy od nich przyrzeczenie, że nigdy, przenigdy przeciw stolicy biskupiej nie zgrzeszą, darował im winę i klątwę zdjął z nich, z ratusza i miasta.

Jakaż radość zagościła pomiędzy ludem! Świątynie dotąd zamknięte, na nowo otworzono; dzwony witały ten dzień radosny, w którym władza duchowna z władzą świecką się pojednały. Należy nam zaznaczyć, że z chwilą, kiedy Schwenkfeld rzucił klątwę na ratusz i miasto — pozamykano kościoły, a obrządki kościelne zawieszone zostały. Zawieszono także spowiedź, absolucyę i udzielanie Sakramentów świętych.

W dwa dni po tej pamiętnej uroczystości, Pan Bóg zesłał karę na Wrocław. Spaliło się do szczętu całe miasto...

— Bóg nas smaga biczem swoim — mawiali mieszkańcy — to za nasze winy, za nasze przestępstwa, za nasze zbrodnie!...

O kacerzu mnichu Marcinie, kronika już nic nie wspomina; ślad o nim zaginął, koniec jego nieznany.

Od tego czasu aż do pojawienia się Husytów we Wrocławiu (1428 r.) zdarzyły się jeszcze dwa wypadki sądzenia kacerzy przez inkwizycyę świętą.

Pewien uczony, imieniem Szczepan, oddaliwszy się w niektórych punktach od dogmatyki rzymskiej, wdał się w dysputę publiczną z teologami, których dowodami naukowemi zawsze zwalczał. Aby go pokonać, sprowadzono z miasta Żegania sławnego na ówczesne czasy opata Ludmila i ten na synodzie prowincyonalnym, w towarzystwie magistra Jana ze Sternbergu, zupełnie zwyciężył kacerza Szczepana. Wynikiem tego naukowego sporu podług ówczesnych praw było spalenie kacerza na stosie.

Ostatnią działalnością świętej inkwizycyi było spalenie husyta Jana Krasy żywcem na stosie we Wrocławiu.

(D. c. n.)

ZŁOTE MYŚLI.

Zapomnienie i przebaczenie są drogocennymi klejnotami, które zdobią duszę chrześcijańską jak dyamenty podnoszące strój wspaniały.

Bolesław Biernacki.

KOŚCIUSZKO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

II.

(Ciąg 2 tomu drugiego).

I swoboda i tęsknota zamieniła się w lęk ogromny. Psi po futorach zanoszą dzikie skowoty. Suche wiatry trzęsą czupryną traw, jak falą wód. Zajęczały burzany. Orły zakrakały wysoko pod stropem nieba. Miesiąc krwawo świeci nad kurhanami. Ptactwo zerwało się lotem z tamtej strony Dniestru i z tamtej strony Dniepru, który podniósł grzywę, białą pianą okrytą i grzmi i huczy w skaliste porohy.

Lotne ptaki, zbite gromadnie w wielką szarą masę, chmurą zwieszały się nizko, jak dymy, lecz nie opadały na zielone pasze, łany i ługi, owszem, zbierały mocniej siły w sobie i pospieszały na północ. Stary did wodził okiem po onych lotnych chmurach, nakręcał rączkę liry i zawodził smętnie:

Iz za hory, hory, z temneńkoho lisu
Tatary idut', Wolynoczku wezut'.
U Wołynoczki kosa z zołotoho wołosa,
Szczyryj bir oswityła,
Zelenu dibrawu i by tu dorohu,
A za neju biryt' u pohoniu bateńko ii.
Kyunuła, machnuła biłoju rukoju:
— Wernysia, bateńku, wernysia, rydneńkyj!
Użeż mene ne odnymesz i sam stareńkyj zahynesz,
Zanesesz hołowu na czużuju storonu,
Zanesesz oczyci na turecki pranyci!

Żałosny głos lirnika porywał wiatr i zanosił na chmury ciemne, sine, które wspinały się szerokim kręgiem na kopułę nieba. Korony liściastych drzew poczęły się chylić i szumem zawodzić. Głębokie jary, utajone futory, zaiskrzone czerwienią kalin ciemne stalowe gęste chmury otoczyły łukiem, sposobem tatarskim. Najeżyły bure grzywy, zwarły się, jak pułki liczne wrogich rot, huknęły pioruny, lunęły deszcze. Burza gromowa przyszła, pohulała, jak mołojcy w koszach tatarskich, i przeszła. Widmo zaś wojny wisiało w powietrzu wciąż i potężniało potwornie. Zerwały się zadumane czaple z widet swoich, dzikie gołębie porzuciły gniazda rodzone, z jękiem żałobnym lecą żórawie. Pieśń żałosną podają dębom dęby, bukom buki... błonia przetkane kwieciem przewijają wieść groźną, jak pioruny:

— Na pograniczu, nad wodami Dniepru i Dniestru stanęły już kolumny generałów Kutuzowa, Dunina i Derfeldena!

Wieść ta spotkała się z wieścią biegnącą z innej strony, również groźną, ponurą:

— Król jegomość stanął na czele wojsk Korony i Litwy! Sam osobą swoją zdąża do obozu!

Nazajutrz jednak znów zdrętwiały serca:

— Wojska pruskie wkroczyły w granice Rzeczypospolitej! Prusak idzie ręka w rękę z Moskwą!

Dotkliwie przeto parzyła wszystkich troska — gdzie się obrócić, kędy znaleźć bezpieczny zakątek, którego pożary wojny nie ogarną?

Rozpoczęła się tłumna, bezładna rejterada szlachty wraz z dobytkiem na Niemirów, Winnicę, Lubar, Połonnę!...

W gospodzie między Serbami a Czerniejowcami szlachty spłoszonej wieścią wojny było, jak nabił. W izbach unosiły się opary, zaduchy, gorącość tamowała oddechy.

Pracowali tu gorliwie wysłańcy marszałków konfederacyi targowickiej, przekładając na wszelkie sposoby, że nikomu włos z głowy nie spadnie, byle tylko wyrzekł się wszelkich bluźnierstw i zamachów na całość Rzeczypospolitej, jaką głosi ustawa rządowa z trzeciego maja 1791 roku!

— Szaleni, z rozumu obrani, czy co, panowie bracia, wołał tęgim głosem zaufany JM. Dyżmy Bończy Tomaszewskiego, który się podpisywał, jako sekretarz konfederacyi targowickiej. Nie przeciwko wolności waszej, lecz owszem, gwoli jej obrony podpisywali manifest JJ. OO. panowie Potocki, Branicki, Rzewuski, oraz inni, znani zaszczytnie z gorącej miłości dla swobód Rzeczypospolitej. Baczcie,

co czynicie, waćpanowie i sąsiedzi mili! — wołał szlachcic, ocierając rzęsisty pot, co mu płynął po twarzy, połą kontusza.

— Król Jegomość—prawił dalej—nabechtany stonnictwem pruskiem, ważył się pogwałcić odwieczne prawa nasze, swobody nasze, urządzenia, któremi słynęła Rzeczpospolita od czasów prastarego Piasta, Jagiellonów, Batorych i Sobieskich. Jednem machnięciem pióra w gruzy obalono, cośmy mieli za świętość—elekcyę, ten cenny klejnot swobód Rzeczypospolitej podeptano zuchwałemi, bzbożnemi nogami. Chcą nam narzucić dzisiaj tron dziedziczny, mieszczanków przypuścić do obrad sejmowych, zrównać w przywilejach z godnie urodzonymi... ba! nawet chłopkom, chamom, żydom niedowiarkom... wszystkim podłym stanom, obiecują swobody wbrew przyrodzonym prawom i postanowieniu Boga... Rozum się ćmi... Mili waćpanowie, najzacniejsi sąsiedzi, nie byle kto zastawia nas piersią szeroką a potężną przeciwko zamachom stolicy: Szczęsny Potocki, generał wsławiony ofiarnością dla wojsk Rzeczypospolitej... Czyż mam po szczególe wymieniać tutaj patryotyczne jego czyny?...

— Nie potrzeba! Zaniechaj, waszmość! I dzieciuchy w pieluchach, niewiasty mdłe przy kądzieli wiedzą, co zdziałał J. O. generał dla sprawy narodu! — ozwały się pojedyncze głosy, lecz górne i krzykliwe.

— Dziękuję waszmościom, miłym sąsiadom, że dajecie votum zaufania J. O. genrałowi, który stanął na czele świętej konfederacyi targowickiej, jako marszałek.

— Dobrze wiemy, że sprawa nasza jego sprawą — wykrzyknęły też same głosy. Wiwat! niech żyje J. O. marszałek!

Cały tłum szlachty jednak nie powtórzył wiwatu na cześć Szczęsnego Potockiego, owszem, szmer niezadowolenia powiał, jak wiatr po łąkach.

— A przezacnego hetmana, Ksawerego Branickiego — czy nie znacie?

— Znamy! — powtórzyli stronnicy nowej konfederacyi.

— A J. O. hetmana Rzewuskiego, który cierpiał w niewoli za ojczyznę?

Szlachcic miał głos potężny, basowy, postawy był rosłej, ramion rozłożystach, prawił gładko i górnie, a jednak ogólnego posłuchu znaleźć nie mógł między przygnębioną smutkiem bracią szlachtą.

— Godzi się nam zacnym napitkiem uczcić zdrowie JJ. OO. hetmanów i marszałka! W ich zacne prawice złóżmy z ufnością dolę i niedolę naszą.

— Przednia myśl! — powtórzyli, jak echo, stronnicy.—Dawno już od tego zacząć trza było!

— Hej, żydzie! psiawiaro! Beczki miodu i wina wytoczyć z lochu! Niech strumienie złotego napitku ukoją strapienia nasze. Żywo!

Brać lubo niechętnie dawała ucho zasługom hetmanów, czerpała jednak kubkami napitek i zwilżała gardło złotym płynem. Tak samo emisaryusz Targowicy sam dobrze wypił, otarł wąsy i kuł żelazo, póki gorące.

— Klnę się — mówił — na popioły ojców, na szczęście dziatek, na Najświętszą Pannę, na wszystkich Świętych, na Boga przedwiecznego w niebie, że ani mnie, ani wam, bracia mili, żadne niebezpieczeństwo nie grozi od zwycięskich wojsk najjaśniejszej cesarzowej. Owszem, pomoc wszelką, w razie czego mają okazać, gdyby na nas rozzuchwalone łyki, albo chamy zabechtane Ustawą Majową, która na nasze szlacheckie karki obrożę ciężkiej niewoli, jako na brytanów nałożyła. Jesteśmy bezpieczni!... Tak mi najświętszy Bóg dopomóż i święty Jego krzyż!

— Nie ta droga, jaką sobie obrali hetmani, prowadzi do ładu i składu! — zaprzeczył wreszcie młody, świeży głos z tłumu.

— Ejże! — ryknął szlachcic. Wyjdźże tu na środek! niech cię zobaczą inni z kształtów i poznają, coś zacz, że chcesz personom, ozłoconym nieprzebranemi ofiarami, uwłaczać i nauczać je, co czynić mają. Patrzcie, waćpanowie, co się dzieje! Nigdy zgody domacać się nie możemy. Byle jaki ciura z za węgła bluzga potwarzą!

— Na szable go, takiego syna! — wołali stronnicy Targowicy i trzaskali w karabele.

— Największa persona, to Król Jegomość — odparł ten sam głos młody. Przed majestatem jego należy nam giąć kolana, a wola sejmujących Stanów tak samo święta rzecz — więc bluźni, kto postanowienia tych dwóch powag w wątpliwość poddaje.

— Zdaje się, do kroćset Tatarów, żeśmy na kostytucyę Trzeciego Maja przysięgali wraz dobrowolnie! — suchym głosem, twardym podniósł szlachcic chudy, jak tyka, kościsty. Tedy waćpanowie, do kroćset Tatarów, że posłowie nasi wraz z marszałkami i królem w stolicy siedzą i w dalszym ciągu obradują jeszcze, do kroćset Tatarów!

Chudy szlachcic łypnął zakrwawionemi białkami groźnie i żylastą rękę na głowni szabli położył.

— Racya jasna, jako oliwa! — zawołali chórem inni.

— Niewolę gotują nam posłowie w stolicy! — przeczyli stronnicy Szczęsnego Potockiego.

— Pohańbienie i sromotę wieczną, zagładę wszelkiego dobrego imienia niosą nam hetmani, odsadzeni od buław. Kto prawy Polak, z królem i z jego wojskiem pójdzie! — dodał ten sam głos świeży, młody, wydobywający się z tłumu.

Oczy szlachty obróciły się w stronę, z której szedł głos. Pod framugą okna stał młody szeregowy z kompanii strzelców, dychał ciężko, oczy płonęły mu blaskiem, na twarzy jaśniał rumieniec wdzięczny, jakoby u dziewki hożej.

Głosy wołały:

— A wyjdźże sam na środek!

Szeregowy zaś przytulił się do ściany, jakby się chciał ukryć przed ciekawych wejrzeniem.

Szeregowy, była to Zośka. Szukała w gospodzie kaprala, trafiła na sejmik. Chciała przed czasem iść, jak przyszła, zatrzymały ją miotania rozłożystego szlachcica na króla i sejmujące stany. Lubo bezpieczeństwo własne nakazywało nie mieszać się do spraw publicznych i w cieniu, jako ślimak w skorupie siedzieć, aby nie zwracać na się wzroków ludzkich, oburzenie przecież wzięło górę, więc wyrwała się z głosem. Postrzegła jednak wnet, że źle robi, więc miast pchać się na środek, bokiem wrzynała się w ciżbę ku wyjściu. Szlachcic nie przestawał krzyczeć:

— A wyjdźże sam tu na jaśnię! niech cię zobaczą wszyscy!

— W łeb szablicą takiego kura! — dopomagali stronnicy hetmanów.

— Jestem i proszę w taniec ze mną, kto łaskaw! — suchym głosem zakrzyknął chudy szlachcic i dobył szabli.

Zamęt, ruch, krzyk powstały w izbie. Ostre łajania kotłowały się w powietrzu, zaczem miały niebawem pójść w ruch ostre szablice. Utworzyły się dwa przeciwne, wrogie obozy. Garść nieliczna obwoływała zdrowie hetmanów, wielką kupą stała szlachta przy królu, sejmujących stanach i ustawie rządowej Trzeciego Maja. Postrzegli emisaryusze Targowicy, że walka będzie nierówna, że królewscy zmiażdżą ich i zmiotą w mgnieniu oka, tak, że żaden i „Amen“ nie zdąży powiedzieć. Poczęli wtedy paktować.

— Nie pora, mości panowie, bracia i najmilsi sąsiedzi do szablic się brać, krew zacną przelewać darmo, kiedy tyle nieszczęść na głowy nasze się wali — począł z innej beczki ten sam rozłożysty szlachcic. Nic dziwnego, że w takim odmęcie ten i ów pobłądzi, gorącością przewini, lecz zgoda braterska niech uśmierza niewczesne porywy. Radźmy zgodnie wszyscy wespołek i przebaczajmy wzajemnie sobie winy w imię miłości ojczyzny.

— Wiwat! niech żyje zgoda! — wołali stronnicy hetmanów.

— Kiedy ma być zgoda, niech będzie zgoda — do kroćset Tatarów. Nie łaknę, do kroćset, bratniej krwi. Nie jestem wilk, ani inny dziki zwierz — do kroćset... Jeno przeciwko królowi niech mi słowo złe nie padnie, bo do kroćset Tatarów zbigosuję każdego i wraz do kroćset Tatarów...

— Wiwat! niech żyje król jegomość, — uderzyły o pułap, jak grzmot, głosy.

— Wiwat, zgoda! — wołali rozgłośniej stronnicy Targowicy.

— Zdrowie króla Jegomości!

— Duszkiem, do dna zdrowie majestatu królewskiego, a kto chociażby kroplę uronił, na pal pójdzie, jako hajdamaka! — ryczał potężnym głosem gruby szlachcic.

Szlachta poczęła pić kolejno zdrowie króla, prymasa, senatorów, marszałków, sejmujących stanów, posłów braci szlachty. Zakurzyły się czupryny, pot oblał czerwone twarze, w oczach płomienie stanęły. Troska, gniecąca piersi, jak zmora znikła, jak niknie szron, oblany ciepłemi promieniami jesiennego słońca.

Tymczasem Zośka wymknęła się z gospody i pędem pobiegła na kwaterę jarem głębokim.

Na przeciwnym brzegu Dniestru stanął najsilniejszy korpus wojsk rosyjskich, zahartowanych w ciężkiej wojnie z Turczynem, pod wodzą Kutuzowa. Gęste kolumny wytrawnego żołnierza, jak ciemny las nieprzejrzany gotowały się od świtu do przejścia rzeki granicznej pod Mohylowem. Robota szła składnie i gładko, gdyż nie było komu bronić przeprawy. Posterunki Rzeczypospolitej rozrzucone wzdłuż Dniestru, Dniepru i Bohu nie mogły nawet marzyć o stawieniu na rozciągłej granicy jakiegokolwiek oporu stutysięcznej armii rosyjskiej. Stała też placówka, do której należała Zośka i kapral Wicher nad Dniestrem, patrzyła i nie wiedziała, co począć z sobą. Chorąży Malinowski, dowodzący szwadronem, całkiem stracił głowę, widząc, że pontony rosyjskie zajęły już połowę rzeki. Kompania strzelców stała najbliżej tego wybrzeża rzeki, gdzie brygadyer kozacki Orłow dowodził przeprawą. Zośka była również w szeregu, mając po prawej stronie kaprala Wichra, po lewej zaś rudego Macieja z Zawichosta. Pod mundurem biło Zośce serce, jak młotem. Czekała komendy niecierpliwa, drżąca, jak liść osiny. Wicher bokiem spoglądał na dziewkę-szeregowego, wąsa przygryzał i raz wraz spluwał, a tymczasem pontony zapełniały się końmi, ludźmi, armatami.

— Do stu kartaczów, na co my tu stoimy i patrzymy, jak na widowisko, przecież tej szarańczy nie wstrzymamy!

— Rychło zaczniemy? — pytała Zośka, dzwoniąc zębami.

— Niby co? — szorstko odrzucił zwykle łagodny dla Zośki Wicher.

— Strzelać.

— Bodaj was wilki zjadły.

— Zawarczały wreszcie bębny. Zośka przycisnęła sztuciec. Odezwała się komenda:

— Cel!... Pal!...

Lecz niebawem trąbki zagrały do odwrotu spiesznym marszem. Naprzód wysunął się ordynans do Czerniejowic z alarmującą, jak piorun, wieścią:

— Wojsko moskiewskie gwałtownie wkracza!

W Czerniejowcach stała garstka jazdy pod komendą podpułkownika Grochowskiego, w Snitkowie zaś, o mil cztery odległym od Mohylowa, czuwał niewielki oddział z generałem Dzierżkiem na czele.

Grochowski, człek bitny, obrotny i przezorny zarazem, okrutnym gniewem się oburzył na chorążego Malinowskiego za niedbalstwo i niedołęstwo.

— Patrzcie, czy widzieliście coś podobnego? Cóż to mi za oficer, dowodzący placówką, który, widząc, jak na dłoni pułki obcych wojsk, puszcza na drugą stronę promy, jakby tamtych chciał wzmocnić i ułatwić im robotę. Zdradą jawną pachnie takowy pomysł! Ha! kto wie, może należy on do targowicy.

Grochowski się zadumał.

— Może — powtórzył. Zwłaszcza, że i nie rozpalił należycie alarmowych sygnałów. Odeślę go z ordynansem do Kościuszki, niech z nim generał robi, co mu się podoba. Nie chcę z przedawczykami lub niedołęgami pracować.

Tymczasem Kutuzow, przeprawiwszy się przez rzekę, rozrzucił na pograniczu między ludnością deklaracyę, zawczasu przygotowaną w Jassach. Chciał uspokoić naród zapewnieniem, że Rosyanie wkraczają li tylko ku pomocy i obronie obywatelów, niesprawiedliwie uciemiężonych i wyzbytych wolności swych. Że wojska rosyjskie nie w innym jakim widoku, jak tylko, aby podać wsparcie i pomoc samym wiernym synom ojczyzny, skonfederowanym dla zniesienia z niej jarzma. Przeto wzywa wszech jej patryotów do łączenia się z sobą, tym zaś, coby przyjaźnie dla Rosyan usposobieni byli, spokojnie w domach przesiadywali, zaręczał, iż każdy zo-

stanie przy swej wolności, majątku i sprawunkach bezpiecznie i bez musu. Wojenna karność będzie w najwyższym stopniu obserwowana, a obrona od wszelkich krzywd i pustoszenia doświadczona. Z przeciwnikami politycznemi ma być postąpiono jak i nieprzyjaciełami Rosyi bez najmniejszego zmiłowania.

Odezwa ta niezmiernie zasmakowała chorążemu Malinowskiemu. Odczytał ją parę razy i delektował się wciąż jej brzmieniem.

— Niema wątpliwości — myślał, że pułki gwoli szczęśliwości naszej wkroczyły... Tak jest! tak jest! Wyraźnie stoi napisane: „Wkraczamy jeno ku pomocy i obronie obywatelów niesprawiedliwie uciemiężonych i wyzbytych z wolności swych.“

Bo gdyby żyła między nami sprawiedliwość — snuł myśli dalej Malinowski, Zośka, ta umiłowana dziewka moja nie do kogo innego, jeno do mnie należałaby. Tymczasem Zośka do innego należy, a we mnie krew kipi, serce pali, zmysły od rozumu odchodzą i wszystko na marność. Niedoczekanie twoje — podniósł pięści w górę i groził komuś niemi — zginiesz raczej, jak suka podła, albo moją być musisz.

Wieczorem przybył Malinowski do Czerniejowic i zaraz wezwał go do siebie Grochowski, podpułkownik. Krótka była między niemi rozmowa, lecz musiała być ostra, surowa, bo Malinowski wypadł z kwatery podpułkownika, jak kula wysadzona prochem. Czerwone wielkie plamy wystąpiły mu na twarz, oczy pałały gniewem.

— Zgiń, przepadnij — mruczał — z takim regulaminem. Po drodze spotkał zaufanego swego służącego, który z dziada pradziada w rodzinie Malinowskich się chował.

— Słuchaj, Macieju — rzekł chorąży głosem zmienionym, przyszła na mnie ostatnia godzina, pogrążony jestem po uszy, potrzebuję wiernego człeka...

— Co się waszej miłości stało — zapytał niespokojnie Maciej. Paniczu, co z wami?

— Źle mi na świecie, źle między tymi ludźmi... Jadem mię napoili, zniewagą w twarz bluznęli.

— O! la Boga, la Boga! — łamał ręce Maciej.

— Wiesz, po co tu przyjechałem?

— A, toć wiem. Głupia dziewka i tyle. Miasto wygodnie sobie w Warszawie przy boku dobrego i chojnego pana siedzieć i zażywać młodości wczasów, siedzi się oto między żołnierzyskami.

— Słuchajże, co powiem. Ja natychmiast wracać muszę do Mohylowa.

— A to po co?

— Jakto po co? Jak śmiesz, ośle jeden...

Młody chorąży, uniesiony gniewem, uderzył starego w twarz z taką mocą, że ten aż się potoczył. Potem złapał go za włosy, rzucił jak psa na ziemię i kopać począł nogami.

— Wszyscy przeciwko mnie, sobaki, ścierwa wy jedne... Wszyscy i ty psie plugawy i ty...

Stary milczał, razy znosił w pokorze, jęku nie wydał. Zmęczył się wreszcie Malinowski, kopnął jeszcze raz starego i usiadł na ławie.

— Wstawaj! — krzyknął po chwili, bo ja czasu nie mam.

Stary się podniósł. Sińce miał pod oczami, z nosa mu krew ciekła.

— Wedle rozkazu — szepnął.

— Umyj się! — nasienie sobacze!

Maciej zlał głowę wodą i wnet stanął wyprostowany przed chorążym.

— Słuchaj tedy, co ci powiem. Mnie czas w inne strony ruszyć. Zostawiam ci dwieście dukatów. Zażywać będziesz tego złota wedle potrzeby. Rozumiesz.

— Wedle rozkazu waszej miłości.

— Masz nie odstępować mi Zośki ani na krok. W ślady za nią ciągle iść. Rozumiesz?

— Wedle rozkazu.

— Ludzi do pomocy możesz ściągnąć do siebie, ile zechcesz. Rozumiesz?

— Wedle rozkazu.

— Z pierwszej zdarzonej okazyi skorzystać. Dziewkę porwać. Rozumiesz?

— Wedle rozkazu.

— I w całości. O ile można w zdrowiu, lecz koniecznie żywą... Rozumiesz... żywą...

— Wedle rozkazu, rozumiem.

— Zaniesiesz ją do Grodna. Tam oddasz ją w ręce bezpieczne matki mojej. Rozumiesz?

— Wedle rozkazu.

— Jeżeli spełnisz zlecenie, stary, pomyślnie, dostaniesz za trudy dwa tysiące dukatów.

— Jezus, Marya!

— Wolnością cię obdaruję.
— Boże miłosierny!
— Druhem i przyjacielem będziesz mi do śmierci.
— Paniczu złoty!
Stary rzucił się na ziemię i począł całować nogi chorążego.

(D. c. n.)



Nauka i zabawa.

Błędne ogniki. Mało kto, zapewne, z czytelników widział czysty fosfor, ale wielu przypomina sobie dawne zapałki *siarkowe;* miały one tę własność, że przy pocieraniu o chropowatą powierzchnię dawały błyszczący ślad i zapalały się, — po zwilgotnieniu zaś za potarciem w ciemności, słabo błyszcząc, wydzielały biały, niemile pachnący dym. To ciało, które zapala się przy pocieraniu zapałek i błyszczy w ciemności, jest właśnie fosforem.

Czysty fosfor otrzymuje się sztucznie z tych ciał, które go w sobie zawierają, — głównie zaś z kości.

Spalmy kawałek kości. Początkowo otrzymujemy czarną, zwęgloną masę; ale potem wszystek węgiel z kości się wypala i pozostaje masa kostna, biała, lekka, tak kruche, że rozciera się w palcach. Masa ta składa się głównie z wapna i fosforu. Dla otrzymania fosforu, ogrzewają przepalone kości z węglem i kwasem siarczanym. Zebrany w postaci płynnej fosfor wlewa się w formy, gdzie zastyga w żółte, miękkie laseczki.

Główną własnością fosforu jest jego nadzwyczaj łatwa palność. Nawet bez ogrzania, leżąc w powietrzu, powoli spala się na powierzchni, łącząc się z jego składową częścią, *tlenem* — przyczem wydaje słaby blask, zwany fosforycznym. Przy słabem nawet ogrzaniu łatwo się zapala. Dość lekkiego potarcia lub zadraśnięcia fo-

sforu igłą, żeby zapalił się przy nieznacznem cieple, jakie przytem powstaje.

Dla bezpieczeństwa więc fosfor przechowuje się zawsze pod wodą, która przeszkadza mu łączyć się z tlenem powietrza.

Z powodu łatwej palności fosforu, zapałki, zwane siarniczkami, nie będą dość bezpieczne, nieraz bywały przyczyną pożaru — i dlatego dziś zastąpiono je zapałkami innemi, które zapalają się dopiero po potarciu o bok swojego pudełka. Łebek takich zapałek, zwanych szwedzkiemi, bo w Szwecyi zaczęto je najpierw wyrabiać, składa się z masy palnej, zawierającej sól Bertoleta, ale nie mającej fosforu. Fosfor zaś jest na bocznej chropowatej ścianie pudełka Przytem jest to inna odmiana fosforu, zwanego czerwonym, który nie tak łatwo się zapala.

Wyrób zapałek ogromnie rozwinął się w ostatnich czasach. Niegdyś zamiast nich używano do rozniecania ognia krzemienia, krzesiwka stalowego i hubki. — Praca w fabryce zapałek jest niemiła, a co gorsza — niebezpieczna i szkodliwa. Robotnicy muszą wciąż oddychać parą fosforu — a fosfor jest silną trucizną. Jeśli rozpalony fosfor dostanie się na ciało, wygryza zjadliwą, trudno gojącą się, często śmiertelną ranę.

Niebezpiecznem jest nawet upadnięcie na rękę rozpalonej główki zapałki siarkowej, — może bowiem wywołać gangrenę. Również zabójczo działa fosfor zażyty wewnątrz; otrucie fosforem sprowadza śmierć w ciężkich męczarniach.

A jednak ten sam fosfor, który w stanie czystym jest dla nas straszną trucizną, stanowi niezbędną część składową naszego ciała. Wszystkie części ciała ludzkiego i zwierzęcego — mięśnie, mózg i nerwy, kości, zęby krew, mleko — zawierają w sobie pewną ilość fosforu. Szczególniej dużo jest go w kościach, zębach i mózgu. Gdy w kościach jest za mało tych minerałów, stają się one miękkiemi; ta miękkość zowie się chorobą angielską kości. Dzieci z chorobą angielską mają zwykle powykręcane nóżki, a często skrzywienie kręgosłupa, wywołujące garby; takim dzieciom doktór przepisuje lekarstwo, zawierające fosfor z wapnem.

Wszystek ten fosfor, jaki mają w sobie ludzie i zwierzęta, oczywiście dostaje się do ich ciała z pokarmem, pochodzącym z innych zwierząt lub z roślin. Że zaś wołom, baranom, kurczętom i t. p. zwierzętom jadalnym dostarczają pożywienia rośliny, przeto ostatecznie wszystek ten fosfor przechodzi do zwierząt z roślin.

Rzeczywiście, rośliny zawierają w sobie większą lub mniejszą ilość fosforu. Szczególniej dużo go jest w nasionach roślin — więc w ziarnach zbóż, w grochu fasoli i t. d.

To nam tłómaczy, dlaczego rośliny rozwijają się słabo w ziemi, nie mającej dość fosforu. Takiej ziemi dostarczamy fosforu w nawozach naturalnych, a szczególniej w różnych nawozach sztucznych, jak superfosfat, tomasówka, fosforyty mielone, mąka kostna. Każdy z tych nawozów zawiera znaczną ilość fosforu.

W ciałach tych, zarówno jak w gruncie i wodzie gruntowej, fosfor znajduje się w postaci różnych związków. Najważniejszym z nich jest kwas fosforny, w skład którego wchodzi fosfor i gazy: wodór i tlen. Kwas fosforny może znów łączyć się z różnemi ciałami, również niezbędnemi dla roślin, jak potas, soda, magnezya — które z nim razem przedostają się do roślin i służą do budowy ich ciała.

O jednym jeszcze związku fosforu musimy wspomnieć, chociaż nie jest on ważnym — ale za to jest dość ciekawym. Nazywa się fosforowodorem i, jak pokazuje nazwa, jest połączeniem fosforu z wodorem. Jest to płyn, który łatwo ulatnia się i ulatując zapala się w powietrzu bladym płomykiem.

W banieczce ogrzejmy ostrożnie kawałek fosforu z wodą i gryzącym potasem. Przez rurkę wtedy wydziela się gaz kółeczkami, które zapalają się w powietrzu. Otóż gaz ten powstaje i sam w przyrodzie, tam, gdzie pod ziemią gnije ciało wszelakie, kości i t. p. Nieraz słyszymy *o błędnych ognikach,* skaczących po mogiłach umarłych. Ludzie zabobonni, lub nieświadomi rzeczy, uważają te ogniki za dusze pokutujące lub za świece, zapalające się przy umarłym. Takie same ogniki ukazują się często po moczarach, bagnach i trzęsawiskach, przeskakują one z miejsca na miejsce, to zapalają się, to gasną, napędzając nocą wielkiego strachu ludziom lękliwym. Powiadają, że te ogniki palą się na błotach tam, gdzie są ukryte skarby, ale że dyabeł pilnuje skarbów i odwodzi na trzęsawiska śmiałka, który się do nich zbliży, a potem goni po bagnie uciekającego. I prawda. Gdy szybko podchodzisz do ognika, odsuwa się on pod pędem powietrza; gdy zaś uciekasz posuwa się za tobą. Wszystkie te sztuki i strachy wyprawia niewinny gaz, który nazwaliśmy fosforowodorem. Gaz ten tworzy się i ulatuje z trupów, spoczywających w mogiłach, lub gnijących na błocie zwierząt.

Jeżeli wam się zdarzy kiedy zobaczyć taki błędny ognik, nie lękajcie się go naprożno, nie uciekajcie przed nim, lecz przyglądajcie mu się ciekawie, jest to bowiem prawdziwie piękne zjawisko.

Dobra córka. W pewnej wiosce polskiej żyła w osamotnieniu wdowa z dwoma synami i córką Wandą.

Gdy w 1655 r. Szwedzi, jako nieprzyjaciele, wkroczyli do Polski, najstarszy syn wyruszył na pole walki, ażeby bronić ojczyzny zagrożonej; młodszy, będąc chorym, został przy matce i siostrze w domu.

W 1656 roku Stefan Czarniecki zwycięża nieprzyjaciela pod Warką; powstało wielkie zamieszanie. Szwedzi dopuszczali się okrutnych gwałtów; ogromne wyrządzali spustoszenia. Polacy, którzy uszli z życiem, chronili się po jaskiniach, lasach i zamkach. Ranny syn wdowy przywlókł się do domu i jak młodszy brat drugie zajął łoże. Dowiedziawszy się o tem pewien szwedzki żołnierz, przybywa za nim i żąda wydania zbiega lub okupu pieniężnego. Oznajmia biedna wdowa, że nie ma pieniędzy, bo ciężkie czasy. Rozgniewany żołdak obala ją na ziemię i omdlałą opuszcza ze strasznem złorzeczeniem. Niebawem nadbiegła zgraja żołdaków i podpaliła skromny dworek.

Usłyszawszy Wanda, która się ukryła przed dziką tłuszczą, trzask ognia i łomot palącego się dachu, wybiega z swego ukrycia i ocala prawie nieprzytomną matkę. A potem przy jej pomocy do poblizkiego lasku uprowadza obydwóch chorych braci i wraz z matką zajmuje się ratowaniem gorejącego dworku. Ale zaledwie rozpoczęły swoje dzieło, nadciągają nowe oddziały żołdaków szwedzkich. Z przestrachu padła matka na ziemię i pozostała jakby nieżywa. Jeden z żołnierzy wyciągnął szablę i w zaciętości swojej chciał nią ugodzić nieszczęśliwą wdowę. Wtedy córka obejmuje ją ramionami i do złośliwego żołdaka w te odzywa się słowa:

— Mnie zabij, człowieku niegodziwy, lecz dopóki żyję, będę broniła mojej matki!

Szwed starszy wzruszony tym objawem dziecięcej odwagi i miłości względem matki, przyskoczył i napastnikowi wytrącił szablę z ręki, przez co ocalił życie matki i kochającej córki.

Po 1600 roku, gdy cokolwiek lżejsze nastały chwile, z popiołów i gruzów wskutek miłości chrześcijańskiej, dobroczynności i poświęcenia dźwigały się chaty i dwory, owoż i dwór zacnej wdowy powstał na nowo na dawnem swem miejścu. Obaj synowie na dalszej byli wojnie, tylko szlachetna Wanda, nie opuszczając swej matki, koiła jej rany i dolegliwe smutki.

Jak Stefan Batory upokorzył Niemców gdańskich. Rosnąca coraz więcej obawa, że państwo niemieckie przez handel i przemysł mo-

głoby się stać niebezpiecznem nietylko dla bliższych, lecz także dla dalszych sąsiadów — nie jest bynajmniej nieuzasadniona. Taż obawa wywiera za granicą nawet wpływ na tok polityki. Także wybitne osoby prywatne w różnych państwach wrażeniom tej bojaźni ulegają. Stąd naprzykład Turcy rozwielmożnieniu się wyrobów niemieckich pragną przeciwdziałać. Niedawno właśnie delegaci kupców z Carogrodu przybyli do Łodzi w celu porozumienia się z naszymi fabrykantami, którzyby polskim towarem zechcieli wyprzeć wytwory niemieckie z ziem sułtana. Miła to jest wiadomość, że rodzima wytwórczość polska będzie miała ułatwiony zbyt do obszernych dzierżaw tureckich w Europie i Azyi.

Są mężowie stanu, którzy nie wątpią, że Rzesza niemiecka nie wahałaby się podnieść broni i użyć przemocy, gdyby naprzykład Anglia przez zaprowadzenie ceł pragnęła wyrobom niemieckim zapory stawiać...

Nie wątpimy, że to w danym razie staćby się mogło. Powodowałby w tym wypadku Niemców interes własny. Czegoż oni nieraz nie podejmowali nawet bez przyczyny wtenczas, gdy korzyść ich żadna nie nęciła! Zaciętość i buta stanowi dla nich często bodziec do najryzykowniejszych przedsięwzięć...

Jednym z najznakomitszych przykładów zuchwałości i buty, jest rokosz niemieckich mieszczan w Gdańsku przeciw Stefanowi Batoremu. Przez zbrojny opór odwdzięczyli się za gościnę w Polsce doznaną przybysze obcy, którym w nadwiślańskiem mieście portowem Rzeczpospolita osiąść pozwoliła.

Gdańszczanie, pozostający w ścisłych związkach handlowych z Hanzą — tak zwało się stowarzyszenie niemieckich miast handlowych — nadto podburzani przez cesarza Maksymiliana, nie mogą znieść ograniczeń przez Zygmunta Augusta na ich przywileje słusznie nałożonych, postanowili króla Stefana nie uznać swoim monarchą. Postanowili trzymać się odpornie i w danej chwili, albo przerzucić się na stronę cesarza, (który o tron polski się bez skutku ubiegał), albo najlepsze na Stefanie wytargować dla siebie warunki. Nie pomogły nic kilkakrotne upomnienia królewskie. Wysłani przez króla na odebranie przysięgi: Stanisław Kostka, biskup chełmiński i Jan ze Służewa, wojewoda brzeski, zamiast przysięgi otrzymali od Gdańszczan tak ubliżający odpis, że przyjąć go nie chcieli. Wtedy król wyznaczył sąd, a gdy nie stawili się Gdańszczanie, ogłosił ich winnymi zdrady majestatu.

Zbroić poczęli się zuchwali mieszczanie niemieccy. Wyruszyło przeciw nieposłusznym wojsko polskie. Sam król stanął pod Gdań-

skiem. Lecz niebawem musiał się udać na sejm do Torunia. Dowództwo objął Jan Zborowski. Miał dwa tysiące jazdy i tysiąc węgierskiej piechoty.

Wyprawili Gdańszczanie do Torunia posłów swoich. Lecz układy nie szły. Zuchwali mieszczanie okazywali wprawdzie chęć do złożenia znacznej sumy pieniężnej, lecz na żadne inne warunki się nie zgodzili. Nadto wzdragali się króla przeprosić. Rozgniewany Batory, uzyskawszy pobory na wojsko, ogłosić kazał publicznie przeszłoroczny wyrok na Gdańszczan, zakazał wchodzić z nimi w stosunki handlowe, a posłów ich, jako ludzi wyjętych z pod prawa, w łęczyckiem więzieniu osadził.

Powiadomieni o tem Gdańszczanie, wiedząc jak szczupłemi siłami Zborowski rozporządza, postanowili znieść polski obóz, zanim większe siły zdołają nadejść. Wysłali przeciw niemu dwa oddziały co do liczby żołnierza poważne. Jeden oddział ruszył lądem pod wodzą Jana z Kolonii. Drugi płynął wodą. Zborowski atoli nie uląkł się przewagi nieprzyjaciela; nad jeziorem Lubieszowskiem zaskoczył drogę knechtom niemieckim, cztery i pół tysiąca Niemców na pobojowisku trupem kładąc. Reszta wraz z Janem z Kolonii w ogromnym popłochu haniebnie uciekła. Marynarze, dowiedziawszy się o losie wyprawy lądowej, czemprędzej także do Gdańska wrócili.

Taki sromotny koniec miała wówczas pycha niemiecka.

Przygoda rekruta. Kiedy w ostatniej wojnie Francyi z Niemcami trzeba było zwiększyć armię, rząd francuski nakazał pobór do wojska w całym kraju. Pomiędzy nowozaciężnymi znajdował się poczciwy wieśniak Jakób, który w prostocie swego ducha, najmniejszego nie miał pojęcia, dlaczego tak zażarcie rodacy jego nienawidzą Niemców i co oni zrobili tak złego, że aż mają ich rąbać i zabijać. Gdy otrzymał rozkaz stawienia się do partyi rekrutów, co zaraz miała udać się w dalszą drogę, podrapał się w głowę i rzekł:

— Czego ci ludzie chcą ode mnie?—Mnie tam Niemiec nic złego nie zrobił, a jeżeli hardy i zadziera nosa, to dlaczegoż mnie wybrali, aby mu go spuścić ku ziemi? — Kiedy głupi, niech się puszy, a mnie co do tego? — Komu się to niepodoba, niech śmiga pałaszem i strzela z pistoletu, ja nie taki zuchwały i jak chodzę za pługiem, to mi się zdaje, że mi już nic w świecie nie brakuje. O! ludzie strasznie niespokojni, jak nie mogą kręcić się i wiercić, to huź — ha! jeden na drugiego i dalej po łbie choć na zabicie. Nie głupim wojenką się zabawiać, a jeżeli mnie gwałtem do niej pocią-

gną, to przy pierwszej sposobności smyrgnę choćby do Niemców, byle się kulom nie naprzykszać! Ho, ho! — umiem ja sobie w każdej biedzie radzić.

Mimo tego, nic nie pomogło i Jakóbek został przeznaczony do pułku ułanów, zostających w korpusie dowodzonym przez jenerała Rolanda. Kiedy w niebieskiej bluzie stanął w szeregu, zgięty i przygarbiony, w czapce zwieszonej w tył głowy i z roztworzonemi ustami, zaczął gamoniowato spoglądać to w prawo, to w lewo, wachmistrz przysunął się do niego i żylastą ręką, twardą jak żelazo, ująwszy go w plecach i pod brodę, wyprostowawszy nagle, zawołał:

— Stój prosto, gamoniu, bo cię każę w prasę zaśrubować!

Jakóbowi z bólu aż się oczy zaiskrzyły, ale zniósł wszystko cierpliwie, tylko szepnął sobie w myśli:

— Oj! źle Jakóbie! żołnierka nie dla ciebie.

Starał się jednak ile możności prosto trzymać, a gdy potem przywdział mundur i spojrzawszy w lustro, zobaczył głowę świeżo ostrzyżoną, twarz wygoloną, aż krzyknął z zadziwienia, rozśmiał się sam do siebie i szepnął:

— No, człek po ludzku jakoś wygląda, żeby ludzie zobaczyli mię we wsi tak przystrojonego, toby usta otworzyli jak wrota, oczy wytrzeszczyli jak żółw i ruszając głowami, dziwiliby się a dziwili, żem się odmienił na tak pięknego wojaka. Pałasina ujdzie, ale nie głupim go wyciągać z futerału. Powiedziano jest: że kto czem wojuje, od tego ginie, a ja nie myślę tak się na wojnie zmarnować. Pistolet jakiś zgrabny, ale go schowam, bo jak strzela, to bardzo huczy. Lanca niby styk do pługa, schowam ją także do powrotu, to będę miał z niej posługę przy oraniu. Mundurzysko troszkę za obcisłe, ale to dodaje zgrabności. Jakoś mi się teraz zaczyna wszystko lepiej podobać, i byle tylko na wygodzie nie zbywało, to i nie byłoby na co tak bardzo narzekać.

W pół godziny później powołano go do nauki i tak go na koniu przeganiano w różne strony, to wolno, to prędzej, to galopem, że biedny Jakób trzymał się aż za boki i co chwila szeptał sobie:

— Widzę, że ci ludzie uwzięli się, żeby mnie tak wodzić i wodzić bez końca. Jeszcze trochę, to wytrzęsą duszę ze mnie, bo już tylko-tylko że zipię! Czy oszaleli, żeby tak męczyć i szkapę i człeka nadaremnie?

Po południu znowu nauka konnej jazdy powtórzyła się, na drugi dzień to samo, trzeciego dnia rozpoczęło się wprawianie do użycia broni i do robienia różnych wojennych obrotów. Rano zwykle odbywała się nauka pieszo, później konno i choć zawsze z różnymi

przestankami po kilka godzin, ale wszystko to było tak męczącem, że biedny Jakób chodził jak zbity, a nawet raz aż się wysmarował spirytusem kamforowym.

— A to mi się udało! — mówił do siebie przy tej operacyi. Każą mi uczyć się strzelania i robienia pałaszem, a mnie to po co? Czy to ja jaki zbójca, żebym ludzi zabijał? W przykazaniach Bożych codzień powtarzam: nie zabijaj! — a oni mnie uczą, jak mam się grzechu takiego dopuszczać. O! pogany, o, grzesznicy! Nie, z nimi trudno wytrzymać, gonią i gonią, a wszystko: marsz! naprzód! albo rąb lub strzelaj! Oho, dosyć tego!

Po miesiącu takich trudów naukowych, Jakób troszkę zgrabniejszy i żywszy, pozbywszy się swej wieśniaczej nieśmiałości, włączony już został do szeregu i razem z pułkiem udał się na linię bojową. Nieszczęście chciało, że pułk należał do armii jenerała Bourbakiego, która znękana klęskami, źle odziana i żywiona, wykonywała odwrót w zupełnym popłochu. Od całkowitej zagłady kilkudziesięciu tysięcy ludzi broniły tylko wysiłki nadludzkie dowódców. Jakób z trudów, głodu i niewywczasu ledwo się już trzymał na nogach. Wychudł, zmizerniał i stojąc na placówce, myślał sobie często:

— Czy to ziemia w piekło się zamieniła, czy co? I chłodno i głodno, strzelają, że aż w uszach szumi, przeganiają, że tchu złapać dobrze nie można, ni snu, ni spoczynku, a przytem, żeby mnie kto zabił, to nie wiem, o co im idzie. Tylko tyle poznałem, że ci, co w kaskach, to Niemcy i na to tu przyszli, żeby do nas strzelali, a ci w czerwonych rajtuzach, co latają jak waryaty i gadają, że ich nie można rozumieć, to bronią nas od posiekania na kapustę. Poczciwi ludziska, ale co to pomoże! Żebym mógł choć z jednym Niemcem bliżej się zejść, tobym mu powiedział: idźcie sobie z Bogiem, skąd przyszliście, a nam dajcie święty pokój. Ale to hardy naród, nie dadzą nigdy do siebie przystąpić, tylko ciągle: paf i paf!

Dywizya jenerał Rolanda, w której się nasz Jakób znajdował, osłaniała odwrót, staczając ciągle potyczki z nacierającym nieprzyjacielem. Waleczny jenerał dniem i nocą nie zsiadał prawie z konia, i znajdując się zawsze na każdym zagrożonym punkcie, zachęcał żołnierzy słowem i przykładem, utrzymując wszędzie, gdzie tylko mógł, karność i porządek. Trzeciego dnia odwrotu, kiedy zmęczone oddziały zatrzymały się pod lasem dla chwilowego spoczynku, a Jakób, owinięty w płaszcz, spał na ziemi przy ognisku, śniąc zapewne o wołach, co niemi orał rolę i o wygodnem w izbie posłaniu,

ułan, stojący na pikiecie, dosłyszawszy jakiś szmer w oddali, wpadł nagle do obozu, wołając:

— Nieprzyjaciel się zbliża!

W mgnieniu oka cały obóz powstał na nogi, Jakób wsiada na konia, popłoch się wzmaga i wszyscy nagle rzucają się do ucieczki.

— Bogu dzięki! — mruknął Jakób,—kiedy przecie już na prawdę uciekają. Przecie raz już dostanę się do domu, a choć trudno będzie mi trafić, jednak dam sobie jakoś radę.

W kilka minut cały oddział Jakóba rozproszył się po polu, każdy leciał jak szalony, a i on zmykał równie dzielnie, jak inni. Jenerał Roland, dowiedziawszy się o tym popłochu szwadronu ułanów, pojmując jak wielkie z tego grozi niebezpieczeństwo dla całego korpusu, porwał za pistolety i wskoczywszy na konia, przysiągł strzelić do pierwszego ułana, którego spotka uciekającego.

Noc była ciemna, śnieg pokrywał pola, a głuche warczenie armat niemieckich dochodziło z oddalenia. Jenerał pędził jak strzała naprzód, a za nim galopowało kilkunastu jeźdźców w przybocznej straży. Jakób pomimo służby wojskowej, dość zawsze powolny, nim się przygotował do ucieczki, był prawie ostatni. Jego więc pierwszego dopędził jenerał i zaraz zawołał:

— Stój! bo strzelę...

Jakób, choć chciał wstrzymać konia, nie mógł tego jednak zaraz z ziębniętemi rękoma dopełnić. Jenerał też, nie namyślając się wypalił z pistoletu, raz i drugi, Jakób krzyknął i spadł jak długi na ziemię bez żadnego poruszenia.

— Człowieka tego pochować — odezwał się jenerał,—a do ministra zatelegrafować o wymierzonej przeze mnie karze.

Rzekłszy to, pędził dalej zatrzymywać uciekających i formować szeregi do spodziewanej walki. Po chwili kilku żołnierzy, drżąc z przerażenia, zbliżyło się do zabitego, aby nieszczęśliwemu towarzyszowi oddać ostatnią posługę. Jakież jednak było radosne zadziwienie, kiedy zobaczyli zabitego, porywającego się na równe nogi, przeskakującego przez płot i zmykającego co sił starczyło! Zanim oprzytomnieli z podziwu, Jakób tak dzielnie zmykał, że zginął wkrótce w ciemności i nie oparł się aż w poblizkiej wiosce. Zobaczywszy ludzkie mieszkania, ale zupełnie opuszczone, wdrapał się na pierwsze znalezione poddasze i zakopawszy się cały w słomę, rzekł do siebie:

— No, teraz wyśpię się przynajmniej po ludzku, a jak spocznę, pójdę dalej, bo już mnie zabito, więc już nie jestem żołnierzem, tylko poległym. Ale co się stało temu w czerwonych rajtuzach, że

tak wrzeszczał, a potem strzelał na zabicie? Widać to Niemiec, tylko przebrany, żeby łatwiej mu było do nas strzelać. Pierwszy strzał fraszka, kula tylko smyrgnęła koło głowy i poleciała w świat, ale druga zawadziła troszkę o ucho. Zgoi się to jednak bez maści, a choćby i ucha brakło, to lepiej bez niego, niż bez głowy.

Kiedy tak Jakób rozmyśla, rozkoszując się w wygodnem poddaszu, jenerał Roland, nie wiedząc o niczem, jakoś był smutny i zmartwiony. Na drugi dzień, siedząc w kwaterze, odezwał się do oficerów:

— Moi panowie, widziałem już wiele okropności na morzu i na lądzie, ale nocy wczorajszej nigdy nie zapomnę. Zabijając człowieka, może niewinnego, spełniłem tylko powinność dowódcy, aby ocalić całą armię od zupełnego rozbicia. Mimo tego, biedaka zabitego ciągle mam na oczach. Był on ostatnim z uciekających, cóż więc miał zrobić, gdy inni uciekali? Najmniej zatem winny padł ofiarą subordynacyi wojskowej, czy go aby pochowano, czy wiecie jak się nazywa?

Ponieważ Jakób został wykryty na poddaszu, i już znajdował się w szeregu, więc oficerowie, wiedząc o całym wypadku, spojrzeli na siebie w milczeniu, bo się lękali złych następstw dla ocalonego. Wreszcie jeden z nich odezwał się:

— Jenerale, czy uwierzysz, że ten człowiek jeszcze żyje?

— Co! żyje jeszcze? — przywołać mi go tu natychmiast.

W pół godziny Jakób, blady jak ściana, stanął przed jenerałem.

— A! to ty? — odezwał się jenerał — dlaczego dotąd nie umarłeś? — Gadaj mi zaraz, tylko bez żadnych wykrętów!

— Chciałem, jenerale — odrzekł, drżąc, Jakób — i to nie raz, bo mi to gonienie i strzelanie się naprzykrzyło, ale nie mogłem.

— Nie mogłeś, choć strzeliłem do ciebie?

— A, nie mogłem, bo kula tylko mię troszkę po uchu skrobnęła.

— Więc cóż teraz z tobą zrobimy? — Telegram doniósł ministrowi, żeś zabity.

— Więc już niech będę zabitym, jenerale! — odezwał się płaczącym głosem Jakób.—Ja, spokojny człowiek, pragnę spoczynku, a nad umarłymi zawsze ludzie mówią: wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

Jenerał rozśmiał się i kazał Jakóba pomieścić w sztabie, przy swojej osobie, i tak dobył do końca kampanii, nie mogąc nigdy dobrze zrozumieć, o co jest wojna prowadzona i dlaczego?

Wypadek ten tu opisany, niech was nauczy, jak to źle być popędliwym. Gdyby jenerał nie był chybił z pistoletu, zabiłby niewinnego zupełnie człowieka i przez całe życie miałby śmierć jego na sumieniu. Energia jest potrzebną, ale powinna zawsze towarzyszyć jej rozwaga. Nadto poznać możecie jeszcze z tego, jak ciemnota w narodzie jest szkodliwą i bezpożyteczną. Co wart żołnierz tak nierozumiejący swego przeznaczenia, jak Jakób? Co wart robotnik każdy, gdy nie umie myśleć i zastanawiać się nad tem, co robi, lub każą mu robić? W narodzie, w którym brak światła nauki, wszystko się odbywa, jakby po omacku. Tak działo się we Francyi, cóż więc dziwnego, że została pobitą i doprowadzoną prawie do zupełnego upadku.

Najprostsza droga do majątku. Tysiące ludzi pragnie z całej duszy mieć swoją własność, swój majątek, choćby niewielki... Pragną, lecz sami nie chcą nic uczynić w tej mierze. Sądzą, że „pieczone gołąbki same wpadną do gąbki".

Także pod względem patryotycznym, jest to wielką korzyścią narodową, jeśli kraj jaki ma wiele jednostek, posiadających swoją własność, swój majątek. Bogatem jest społeczeństwo, jeśli ma obywateli bogatych. Społeczeństwo takie jest silnem, nieraz silniejszem od przewagi orężnej. Tak naprzykład wiemy z historyi, że Napoleon, pierwszy cesarz francuski i zarazem największy wódz w świecie, został pokonany przez bogactwo Anglii! Zwyciężyły Napoleona wprawdzie wojska austryackie, niemieckie i rosyjskie, lecz wojska wszystkich trzech państw były utrzymywane za pieniądze przez Anglików dostarczane.

Rozpowszechniła się u nas myśl, że bogactwo zyskuje nam poszanowanie, władzę i inne większe korzyści materyalne oraz duchowe. Coraz więcej wśród nas ujawnia się chęć dojścia do zamożności Lecz jak złe obieramy drogi nieraz, żeby dobrobyt osiągnąć?

Jedni szukają szczęścia w grze, w loteryi:—Raz przecież muszę wygrać! — ten i ów powtarza, a tymczasem zamiast mieć coraz więcej, ma coraz mniej...

Inni czekają wiecznie na jakiś spadek, spodziewają się jakiegoś zapisu, liczą na jakiegoś bogatego wuja w Ameryce, lub jeszcze bogatszą ciotkę w Australii... Ale ponieważ poczciwy wujaszek nie ma jakoś wcale ochoty umierać, więc o wielkim spadku ani słychu!

Tacy ludzie nie chcą zrozumieć, że „bez pracy niema kołaczy" i do śmierci marzą o „pieczonych gołąbkach", a dopiero po niewczasie spostrzegają, że po zmarnowanem lecie, źle bywa w jesieni.

Pracować przeto trzeba i jeszcze pracować, a z tej pracy oszczędzać!

Coś sobie zapracował — to twoje. Coś sobie zaoszczędził, tego będziesz używał, gdy już nie będziesz mógł pracować. Mądrze o pracy wyraził się Szymon Szymonowicz, wielki pisarz polski, który żył przed trzystu laty. Otóż Szymonowicz mówi:

„Praca — chleb najpewniejszy.
Kto polega na nię —
I za żywota ma na chleb
I po nim zostanie...“

Ludzie wspólnie pracują dla wspólnego bytu: rolnik dostarcza nam pożywienia; rękodzielnik, wyrabiając tkaninę, a krawcy i szwaczki, szyjąc, dają nam ubrania; murarz i budowniczy stawiają domy na schronienie naszych ognisk domowych i t. d.

Praca jest więc życiem ludzkości. Usuńmy ją, a zginie ród ludzki. Wszystko, cokolwiek wielkiem jest w człowieku — w pracy ma swe źródło: piękność w sztuce, w piśmiennictwie, w umiejętnościach. Cała wiedza daje się posiąść jedynie przez pracę. Każda myśl pożyteczna i piękna jest wynikiem pracy, badań...

Kto świat popchnął naprzód drogą postępu? Za czyją, jeśli nie pracowników, stało się to sprawą? Bylibyśmy pozbawieni dobrodziejstw oświaty, gdyby nie oszczędności i zapasy przez ojców naszych poczynione: zapasy pieniędzy, budynków, lasów i t. p. zasoby umiejętności, piśmiennictwa, wynalazków i umysłowej kultury.

Te oszczędności wytworzyły cywilizacyę w świecie. One są wynikiem pracy.

Nawet wtedy, gdy ci się zdaje, że nie zdołasz za życia zapracować majątku, to jeszcze pracuj i oszczędzaj w tej myśli, że fundusz zapoczątkowany przez ciebie przyda się komuś, kto go po tobie powiększy, pomnoży... „Chociaż nie skończysz, — działaj ciągle!“

Więc, jeżeli sam dla siebie dbać nie potrzebujesz o zapewnienie dobrobytu na starość — to jeszcze pracuj, żeby zapewnić dobrobyt innym, choćby po twojej śmierci:

„Człowiek się nie dla siebie rodzi.
Sobie żyć tylko, to się nie godzi.“

Oszczędność powstała dopiero razem z oświatą. Ale też praca i oszczędność zrodziły oświatę.

Pozostaje zatem jedna tylko prosta droga, żeby się zbogacić: Przy pracy oszczędność, ale oszczędność rozsądna.

Po większej części ludzie, którzy swoją własność posiadają, zdobyli majątek tylko przez pracę i oszczędność. Prawie wszyscy ludzie, którzy nic nie mają, dlatego żyją w niedostatku, ponieważ pracowali i nie umieli oszczędzać.

Społeczeństwu polskiemu, jako wzór pracowitości i oszczędności, służyć może szlachetny mieszczanin Staszyc. Jest to jeden z największych ludzi, jakich Polska wogóle wydała.

Staszyc był z zawodu nauczycielem, a żył za panowania ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jest Staszyc wielkopolaninem i stąd Księstwo Poznańskie dumne być może, że go na świat wydało, urodził się bowiem w miasteczku Pile.

Jako pisarz, przygotował Staszyc umysły polskiej szlachty dla zasad konstytucyjnych. On to głosił, że szlachcic i mieszczanin i chłop są sobie równi. A słowa padły na ziemię urodzajną. Szlachta polska ogłosiła konstytucyę w dniu 3-go maja 1791 roku. Staszyc jest duchowym ojcem tej konstytucyi, uznającej równość wszystkich stanów.

Takim był Staszyc jako pisarz. Nie mniej wielkim jest jako człowiek w swojem domowem zaciszu. Pracuje od rana do wieczora i składa grosz do grosza. W ten sposób staje się człowiekiem majętnym. Mimo dobrobytu pozostaje oszczędnym do końca życia. Idąc do teatru naprzykład, chodzi zawsze na najtańsze miejsce. Nie dziwną więc jest rzeczą, że umierając, ogromne pieniądze pozostawia. Nie mając ani żony, ani dzieci, przekazał majątek polskiemu społeczeństwu. Kamienica księdza Staszyca w Warszawie stała się własnością Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. — Naśladujmy Staszyca!

Z dziejów herbaty. Herbata jest dziś w całym świecie najbardziej używanym napojem. Spotykamy ją codziennie na każdym prawie stole. Dlatego też chcielibyśmy przytoczyć nieco szczegółów z historyi tej pożytecznej rośliny.

Wiadomo powszechnie, że ojczyzną herbaty są Chiny.

O stworzeniu herbaty tak opowiada myt chiński:

„Żył sobie przed wiekami bogobojny mąż imieniem Darna. Pewnego razu, gdy zasnął, ukazało mu się jedno z dobrych bóstw, mówiąc:

— Wstań, zgól brwi swoje i zasiej włos w polu, nad wodami. Darna obudził się zdumiony, ale poszedł za radą bóstwa, zgolił brwi, zasiał włosy, a gdy po pewnym czasie wyrósł z tego dziwnego sie-

wu krzak herbaciany, we śnie znów ukazał się bożek, pouczając, jak ma napój przyrządzać.

Ta bajka, naiwna bardzo w gruncie, dowodzi tylko, że herbatę musiano znać w Chinach od niepamiętnych czasów, a że jest tam jednym z najbardziej używanych artykułów spożywczych, lud musiał z czasem wymyślić jakąś historyę, w której herbata odegrała rolę daru nieba. Do Europy przywieźli herbatę kupcy holenderscy około 1610 roku. Stamtąd przedostała się herbata do Anglii, gdzie ją wkrótce na granicach opodatkowano.

Ciekawie przedstawia się ilość zużytkowywanej herbaty w świetle cyfr:

Anglia, która i dziś zużywa największą ilość herbaty, w roku 1711 zużyła 141,995 funtów, w roku 1834 — 31,829,620 funtów, w roku zaś 1836, czyli w dwa lata później — 50,500,000 funtów.

W Rosyi poznano herbatę około 1638 roku. Pierwsze płonki herbaciane sprowadził do Europy znakomity przyrodnik-botanik Karol Lineusz (ur. 13 maja 1706 r. — zmarły 10 stycznia 1778 r.).

Obecnie zużywa Europa przeszło 300 milionów funtów herbaty w ciągu roku.

Mgła londyńska. Człowiek, któremu uda się wynaleść środek przeciwko mgle, zarobi w Londynie miliony.

Wedle obliczeń tydzień mglistej pogody kosztuje akcye kolejowe około 2 milionów rubli, dorożkarze tracą dziennie przeszło po 10,000 rubli. Dla sklepów, rynków, handlu wogóle mgła przynosi straty nieobliczone, gdyż z konieczności ruch prawie zupełnie słabnie. Dodatkowe oświetlenie miasta w dzień mglisty kysztuje 20,000 rubli.

Łatwo obliczyć, jaką klęską są mgły londyńskie. Rocznie wyrządzają straty na miliony! Czy przyszłość wynajdzie przeciw nim jakie środki?

Koleje podziemne w Chicago. Chicago za przykładem Londynu zaprowadziło całą sieć kolejek podziemnych.

Do niedawna panował tam na ulicach taki tłok i ścisk wskutek ruchu wozów z towarami, tramwajów i pojazdów, że pieszy przechodzień z trudem przedostawał się z jednej strony ulicy na drugą. Obecnie kolejki podziemne, poruszane elektrycznością, usuwają ten ruch nadmierny, gdyż większą część jego sprowadzono pod ziemię. Utworzył się natomiast pod ziemią istny labirynt tuneli, które krzyżując się na wszystkie strony, przypominają starożytne greckie podziemia bez wyjścia.

Morze Martwe w Tybecie. Znakomity podróżnik szwedzki Sven Hedin podczas ostatniej podróży po Tybecie odkrył olbrzymie jezioro z wodą niezwykle słoną. Całe jezioro pomimo wielkiej przestrzeni, jaką zajmuje, jest bardzo płytkie, dno zaś stanowi twarda skorupa solna.

— Gdyśmy wypłynęli na wodę — pisze Sven Hedin — łódka nasza wkrótce pokryła się solnymi kryształkami, podobnież i nasze ubrania. Kropla wody pozostawia po wyschnięciu białą solną plamę. Nic też dziwnego, że brzegi tego jeziora nie posiadają roślinności, a wód nie ożywia żadne stworzenie. Pod tym względem to tybetańskie jezioro przypomina morze Martwe w Palestynie.

Pomnik na polu bitwy pod Lipskiem. 18 października 1913 roku upłynie sto lat od pamiętnej w dziejach bitwy pod Lipskiem.

Napoleon, zdradzony przez Sasów, cofnąć się musiał.

Dla nas pamiętną jest ta bitwa z tych względów, że Polacy dużo w niej krwi przelali; między innymi zaś zginął nasz narodowy bohater książę Józef Poniatowski. Na miejscu tem buduje obecnie miasto pomnik, który wielkością przypomina starożytne budowle egipskie.

Wysokość pomnika wynosić będzie 90 metrów. Budowa ta rozpoczęła w 1898 roku według planów inżyniera Brunona Schmitza, trwa bez przerwy. Dzieło ma być na rocznicę skończone.

Wśród pomników świata zajmuje pomnik lipski trzecie miejsce pod względem wysokości. Pierwsze należy się obeliskowi Waszyngtona (170 metrów), drugie posągowi wolności w Nowym Jorku (100 metrów).

Alkoholizm wśród dzieci w Niemczech. „Berliner Tageblatt" podaje, że w mieście Nordhausen, gdzie znajdują się liczne gorzelnie, poczyniono obserwacye nad dziećmi, które już w wieku najmłodszym używają napojów alkoholicznych (wódka, piwo).

Rezultaty okazały się bardzo opłakane. W siódmej klasie pewnej szkoły ludowej z 49 dzieci, 38 piło wino, 40 wódkę, a wszystkie piwo.

W czwartej klasie z 28 dziewczynek 27 piło wino, 14 wódkę, 21 oświadczyło, że bardzo lubią piwo, 14 pijało piwo regularnie codzień, „ponieważ to dodaje sił", jak mówili rodzice, 16 twierdziło, że już bywały lekko pijane. W pewnej wiosce koło Ortelsburga znaleziono u znacznej liczby uczniów flaszki z wódką, otrzymaną

„na otrzeźwienie“ od rodziców. Niektóre *dziewięcioletnie* dzieci przynoszono rodzicom do domu jeszcze przed lekcyami pijane.

Tak bywa w szkołach niemieckich, w państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów.

PAMIĘTAJ, BRACIE!

Do Ślązaka.

Pamiętaj, bracie, ze śląskiej ziemi,
Żeś wiarą, mową z nami złączony,
Żeś Polski synem, żeś ciemiężony,
Lecz, że nie pójdziesz w ślad za innymi,
Którzy niemiecką szatę oblekli,
Mowę zmienili, wiary się wyrzekli.
Pamiętaj, bracie!

Pamiętaj, bracie, ze śląskiej ziemi,
Jak czcić i kochać tę świętą wiarę,
Jak kraj miłować trzeba nad miarę.
Pamiętaj mówić z synami swymi,
Jak wielcy byli nasi królowie,
A matka córkom niech to opowie,
Pamiętaj, bracie!

Pamiętaj, bracie ze śląskiej ziemi,
Dowieść odważnie czynami swymi,
Że wiara, mowa twymi skarbami,
Że celem twoim siły wspólnemi
Ojczystej mowy bronić zawzięcie,
I wiary ojców trzymać się święcie.
Pamiętaj, bracie!



Z wystawy częstochowskiej. Gdy tom niniejszy „Dzwonka Częstochowskiego“ dojdzie do rąk Szanownych naszych Czytelników, już wystawa otwartą zostanie, już setki i tysiące ludu zwiedzać ją będzie. Uroczysta to będzie chwila w dziejach przemysłu naszego kraju, gdy na wystawę przybędą goście zagraniczni — pobratymcy nasi — Czesi. Komitet wystawy powita ich radośnie i przyjmie godnie i gościnnie.

W biurze wystawy przemysłu i rolnictwa odbywają się posiedzenia komitetu głównego. Przewodniczą: prezes wystawy St. ks. Lubomirski, a następnie wice-prezes K. hr. Raczyński.

Dyrektor wystawy p. Alf Bogusławski zdał relacyę z obecnego stanu finansowego wystawy, który przedstawia się zadawalająco, nadto odczytał niektóre ważniejsze umowy z wystawcami i przedsiębiorcami do zatwierdzenia komitetu głównego. Dłuższą dyskusyę wywołał projekt utworzenia specyalnego pawilonu sztuki, którym zajęło się Koło architektów w Warszawie. Ze względu, że koszt budowy tego pawilonu przeniósłby 2,000 rb., że budowa jego (z drzewa) nie dawałaby rękojmi bezpieczeństwa dla eksponatów, decyzyę w tej sprawie wstrzymano, oddając do rozważenia komisyi wykonawczej.

Wybudowanie specyalnego pawilonu dla Sztuki kościelnej również spotykało się z przeszkodami, ponieważ żaden z przedsiębiorców nie chciał budować pawilonu na koszt własny, funduszów zaś na ten dział wystawa nie posiadała. Dzięki jednak uprzejmości To-

warzystwa hygienicznego sztuka kościelna znalazła pomieszczenie w gmachu tegoż Towarzystwa.

Następnie rozważano kwestyę działu rolniczego.

Przedstawiciele rolnictwa, z p. Antonim Jankowskim i dyr. Wirskim na czele, żądali wyjednania znaczniejszyah funduszów na ten dział, co się spotkało z opozycyą niektórych przedstawicieli przemysłu. Rozdźwiękowi zapobiegł przedstawiciel tegoż przemysłu dyr. Szymański, który w przemówieniu swem, uzasadniwszy konieczną łączność tych dwóch dziedzin i zależność wzajemną na wystawie, sam głosował za przyznaniem działowi rolnemu zapomogi żądanej w kwocie 3,000 rb. W ostateczności żądanie to zostało uwzględnione, dzięki czemu dział rolny na wystawie naszej zostanie należycie postawiony, gdyż oprócz tego subsydyum posiada on inne, jako to: ministeryalne, wyścigów konnych i osób prywatnych.

Następnie udzielał wyjaśnień dyrektor Bogusławski w kwestyi atrakcyi na wystawie. Dział ten, zdaniem naszem, przedstawia się dotąd dosyć obiecującym, dyrekcya czyni co może, aby go jeszcze urozmaicić. Tak więc na wystawie oprócz teatru, znajdą się: kinematograf, karuzele, huśtawki, młyny dyabelskie. Nadto znany profesor atletyki p. Wł. Pytlasiński złożył ofertę w kwestyi urządzenia igrzysk olimpijskich z walkami siłaczy i uwzględnieniem modnych dziś sportów. Komitet w zasadzie zgodził się na ten projekt, miał zażądać on jednak od ofertanta zmiany niektórych szczegółów, dotyczących strony materyalnej przedsiębiorstwa.

W końcu rozważano dość szczegółowo kwestyę mieszkań dla gości wystawowych. Z działalności dyrekcyi oraz energii komisyi mieszkaniowej widać, iż sprawą tą zajęły się poważnie.

Z ziemi Piotrkowskiej. Powstaje nowe Towarzystwo oświatowe na całą gubernię piotrkowską, z siedzibą w Częstochowie.

Założycielami tego Towarzystwa są: pp. Władysław Małkowski, ks. kanonik Maryan Fulman, Adam Świętochowski, Stanisław Szymański i dr. Leon Wasilewski. Ustawa Towarzystwa uzyskała szerokie przywileje, a ma na celu popieranie spraw szkolnych do szerzenia oświaty.

Do urzeczywistnienia tego celu Towarzystwo ma prawo, przy zachowaniu obowiązujących przepisów: popierać, zakładać i utrzymywać ochrony, szkoły ludowe, kursy dla dorosłych, seminarya nauczycielskie, czytelnie i biblioteki, szkoły rzemieślnicze i specyalne z warsztatami; zakładać i utrzymywać domy ludowe dla celów

oświaty i zabawy towarzyskiej; urządzać odczyty i wykłady; wydawać i rozpowszechniać książki, czasopisma i pomoce szkolne; udzielać kształcącej się młodzieży stypendyów, opłacać wpisy i udzielać zapomóg; wyznaczać i udzielać zapomóg zakładom szkolnym i kulturalnym — i wogóle przedsiębrać wszystkie czynności z celem szerzenia oświaty wśród miejscowej ludności na zasadach religijnych i pedagogicznych.

Polem działalności, jak zaznaczyliśmy, jest cała gubernja piotrkowska. W każdej miejscowości tej gubernii, zarząd Towarzystwa może otworzyć filię, o ile znajdzie się tam odpowiednia liczba członków Towarzystwa.

O otwarciu filii należy zawiadomić właściwą władzę.

Na czele filii stoi zarząd specyalny, kieruje interesami filii i podlega zarządowi Towarzystwa, od którego otrzymuje instrukcye i wskazówki. Zarząd filii rozporządza wszystkiemi swemi funduszami, ustanawia własny budżet i t. d.

Bursy dla młodzieży rzemieślniczej. Dotychczas społeczeństwo nasze zwracało przedewszystkiem uwagę na młodzież, kształcącą się w rozmaitych zakładach naukowych, natomiast mniej zajmowało się tą młodzieżą, która się poświęca zawodom praktycznym. Tymczasem warunki, w jakich się wychowują młodzi rękodzielnicy, praktykanci handlowi i t. p., nietylko pozostawiają wiele do życzenia, ale często są wprost opłakane. Jeśli chcemy, by nasze rzemiosła i handel podniosły się, musimy większą opieką otoczyć młodzież, przygotowującą się do tych zawodów.

Należy przystąpić do gruntownej zmiany warunków hygieny i pedagogii, w jakich przyszli rękodzielnicy pracują. Nietylko baczyć należy na ich fachowe przygotowanie, ale jednocześnie trzeba wychowywać z nich ludzi, zdrowych na ciele i duszy.

W Galicyi powstała świeżo nowa instytucya: „Towarzystwo burs i opieki nad młodzieżą rękodzielniczą i handlową w Krakowie.“

Celem tej instytucyi jest wzbudzenie w młodzieży rzemieślniczej zamiłowania do pracy, wykształcenie jej umysłu, zahartowanie ducha, nauczanie samopomocy i polegania na własnych siłach, a równocześnie danie jej możliwie najkorzystniejszych dla fizycznego rozwoju warunków. By cel ten osiągnąć, Towarzystwo zamierza zakładać bursy i ochronki dla terminatorów rzemieślniczych i praktykantów handlowych, organizować komitety na prowincyi, wyszukiwać zdolną młodzież polską, umieszczać ją w zawodach rękodzielniczych i handlowych, oraz otaczać ją odpowiednią opieką.

Na początek Towarzystwo krakowskie otworzyło jedną bursę, do której przyjęło 20 uczniów rękodzielniczych i 10 praktykantów handlowych. Za opłatą miesięczną 20 — do 30 koron każdy z nich dostaje całkowite utrzymanie: wikt, mieszkanie, pranie, opał, korzysta z kąpieli, ma rozmaite rozrywki, bibliotekę, gazety i t. p.

Po powrocie z warsztatów uczniowie wysyłani są do uzupełniającej szkoły przemysłowej. Wieczorem zbierają się w obszernej sali na pogawędki i pożyteczne czytanie. W niedziele w obszernym ogrodzie bursy mają być urządzone gry towarzyskie, mają odbywać się na sali odczyty pouczające, śpiewy chóralne. W czasie pięknej pogody będą urządzane wycieczki w okolice miasta, zwiedzane krakowskie zabytki. Zarząd ma też dołożyć starań, by uczniowie uczęszczali na popularne koncerty, przedstawienia teatralne i t. d. Specyalny doktór sprawuje dozór sanitarny nad zakładem. Zarząd chce zwracać uwagę na indywidualne zdolności uczniów, by ich potem kształcić w odpowiednich kierunkach.

Tego rodzaju instytucye powinnyby się potworzyć i u nas w jak najprędszym czasie, bo ilość młodych rękodzielników, potrzebujących opieki i pomocy jest u nas bardzo wielka. Utyskujemy na niedbalstwo i brak sumienności naszego rzemieślnika, dajmyż możność młodemu pokoleniu rękodzielników wyrobić się w innych zdrowszych i lepszych warunkach, niż dotychczasowe...

Stwórzmy instytucye, któreby zaszczepiały w przyszłych rzemieślnikach odpowiednie zasady i urabiały w nich potrzebne zalety.

Z Londynu. Zacni Rodacy! Ks. kardynał Vaughan, widząc w Londynie kilka tysięcy opuszczonego ludu polskiego i litewskiego bez opieki duchownej, wskrzesił na nowo Misyę polską w roku 1894, oddając pieczę nad nią pasterzowi Polakowi, mianując zarazem skarbnikami funduszu tamże stale zamieszkałych ś. p. Ludwika hr. Łubieńskiego i p. Henryka Pace, upoważniając ich do zbierania składek. Jak każda nowa instytucya, tak nasza Misya różne przechodziła koleje. Wojny, rozruchy w kraju, a wreszcie budowa katedry w Londynie i t. d., niekorzystnie wpłynęły na rozwój materyalny Misyi i tak kaplica polska dotąd ciągle jeszcze w najętym i to już szóstem mieści się miejscu.

Nie godzi nam się stanąć w połowie drogi i dziś z nowym zapałem i energią zabieramy się do pracy, by dokończyć rozpoczęte dzieło i zebrać dostateczny fundusz na budowę kościoła polskiego w Londynie, którvby był własnością kolonii polskiej pod zwierzchnictwem miejscowego ks. Arcybiskupa.

W Anglii, jako kraju protestanckim trudno nam o składki na ten cel.

Anglia bogata, lecz obok bogactw najstraszniejszą jest nędza, jak zwykle w wielkich miastach. Anglicy katolicy z prywatnych składek utrzymują całe duchowieństwo, jakoteż wszelkie swe instytucye, budują kościoły, szkoły, zamożnych katolików można na palcach policzyć, lecz i do nich pukamy o pomoc.

Jakkolwiek w Polsce wiele mamy do zabezpieczenia, lecz mamy też wielu zamożnych obywateli Polaków, gdy w Anglii nie mamy ich wcale.

Niejeden z naszych współziomków zmuszony był mimo woli kraj opuścić i wrócić doń nie może; chociaż ich tu do Londynu nie sprowadzamy, ale poczuwamy się do obowiązku zaopiekowania się nimi na obczyźnie.

Komitet budowy kościoła ma za zadanie stworzyć ognisko stałe, narodowe w Londynie, gdzieby kościół, biblioteka, czytelnia i szkółka były punktem oparcia kolonii polskiej, by w ten sposób uchronić tę garstkę ludu naszego od zagłady moralnej i narodowej. Brak nam tylko funduszów, by zabezpieczyć w przyzwoitej i dla naszych ziomków dogodnej dzielnicy odpowiednią miejscowość na budowę i wynieść się z tymczasowej kaplicy, urządzonej w dawnej Ochronie dla marynarzy przy dokach, w nędznej okolicy.

Komitet odpowiada tylko za składki na ręce jego członków przysłane, każdy grosz się zapisuje i wpłaca do banku. Zebranego funduszu było około 1,100 funtów szterlingów (22,000 marek), lecz z tego panowie skarbnicy wypłacili 425 funtów szterlingów na wynajęcie obecnej kaplicy.

Pukamy więc do serc Szlachetnych Ziomków choć o skromny datek na świątynię naszą, by ta wznosząc się w górę wieżycami, świadczyła o żywotności narodu naszego i o tem, że dbamy o najświętszą sprawę.

Uprasza się przesyłać składki na ręce: Najprzewielabniejszego ks. biskupa Likowskiego w Poznaniu, lub też do Skarbnika, adresując: H. Pace Esq., 23 Old Square Lincoln's Inn. London W. C. Komitet Budowy Kościoła w Londynie.

List Najprzewielebniejszego ks. Arcybiskupa westminsterskiego, tłómaczony na język polski. Pałac arcybiskupi Westminster — Londyn, dnia 6 lutego 1905 r. Pochwalam starania, podejmowane w celu ustalenia na trwałej podstawie kościoła i Misyi dla Polaków w Londynie. Wziąwszy na uwagę wielką ich liczbę, praca, mająca na ce-



Kompania z Turobina, dyecezyi lubelskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.

lu zaspokojenia ich duchownych potrzeb ma bardzo wielką donioślość, a tymczasem trudne warunki ich bytu nie pozwalają im zrobić pod tym względem więcej, niż zapewnić utrzymanie swemu duszpasterzowi.

Z przyjemnością odnawiam upoważnienie, dane przez mego poprzednika hr. Łubieńskiemu i panu Pace, którzy działając wspólnie z duszpasterzem Polskiej Misyi, mogą zorganizować składkowanie na budowę polskiego kościoła, oraz pełnić nadal funkcye skarbników. Zarazem proszę Boga, by pobłogosławił to zbożne dzieło.

Franciszek,
Arcybiskup westminsterski.

Odezwa. Z inicyatywy i staraniem Stowarzyszenia Narodowego Kobiet Polskich, przy nader czynnym współudziale w pracy organizacyjnej zaproszonych pań, ziemianek oraz mieszkanek miasta Kalisza, otwartą zostanie w tymże Kaliszu, w drugiej połowie września r. b. Wystawa pracy kobiet. Podzielona na sekcye, obejmować będzie wszystkie działy wytwórczości kobiecej. Jakkolwiek pragniemy gorąco, aby wystawa nasza była przedewszystkiem dokładnym obrazem pracy kobiet w ziemi kaliskiej, to jednak odzywamy się do uczuć i serc kobiet polskich wszystkich dzielnic naszego kraju o poparcie wystawy, o złączenie się z nami w jednej wspólnej a drogiej nam pracy. Dla łatwiejszego objęcia całokształtu przyszłej Wystawy, podajemy spis sekcyi: I Szkolna, II Ochroniarska, III Przemysł domowy, ubiory ludowe, IV Statystyczna, V Artystyczna, VI Gospodarstwo domowe, VII Ogrodnictwo, VIII Krawieczczyzna i Modniarstwo, IX Hafty kolorowe, koronkarstwo, roboty ręczne, X Hafty białe, szycie i znaczenie, XI Kwiaty sztuczne.

Wszelkie okazy pracy kobiet, nie objęte w poszczególnych sekcyach, będą również przyjmowane na wystawie.

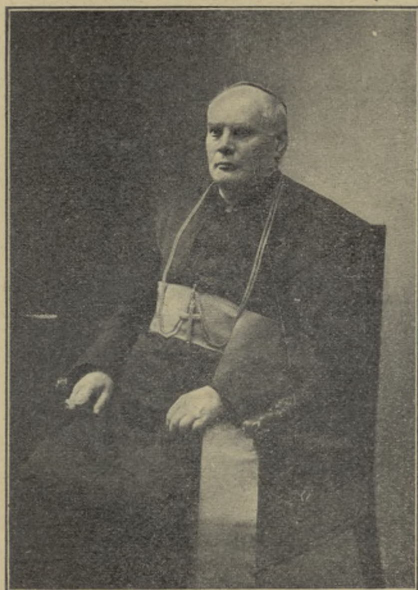
O dniu otwarcia Wystawy, doniosą osobne ogłoszenia. Po bliższe szczegóły i objaśnienia prosimy zgłaszać się do Komitetu Wystawy, na ręce przewodniczącej. Wystawa urządzona będzie w lokalu Towarzystwa Cyklistów w Kaliszu.

Raz jeszcze odzywamy się o poparcie naszych starań do wszystkich kobiet polskich. Tylko wspólna praca prowadzi do pożądanego celu.

Przewodnicząca Komitetu Wystawy *Melania Łarczewska.*
Sekretarka *Jadwiga Rejmanowa.*
Zastępczyni *Marya Mystkowska.*

Jubileusz Pasterza. J. E. biskup sufragan warszawski, ksiądz Kazimierz Ruszkiewicz, obchodził uroczyście ćwierćwiekowy jubileusz święceń biskupich i półwiekowy — kapłańskich.

Uroczystości jubileuszowe odbyły się w kościele Święto-Krzyskim, którego ks. Ruszkiewicz jest od 25 lat proboszczem. Po solennem nabożeństwie, które w asystencyi ks. biskupa Zdzitowieckiego odprawił sam jubilat, ks. dziekan Dudrewicz odczytał adres, podpisany przez tysiące wiernych. Adres ten podnosi zasługi jubilata,



J. E. ksiądz biskup Kazimierz Ruszkiewicz.

jako uczonego i dobrego Pasterza, — jako wiernego syna ojczyzny, polskiego kapłana i polskiego księcia Kościoła, który odczuwał zawsze gorąco potrzeby swego narodu, jego nadzieje i bóle.

Z dyecezyi kieleckiej. Osierocona przez zgon ś. p. ks. Infułata Brudzyńskiego dyecezya kielecka pozyskała w dniu 21 czerwca no-

wego Administratora przez wybór księdza prałata Aleksandra Kluczyńskiego, regensa miejscowego seminaryum.

Nowo obrany zwierzchnik dyecezyi urodził się w Czostkowie dnia 16 listopada 1837 roku. Wykształcenie otrzymał w gimnazyum i seminaryum kieleckiem, a następnie Akademii Duchownej Warszawskiej, po której ukończeniu był wikaryuszem w parafiach



Ksiądz prałat Aleksander Kluczyński, regens seminaryum, nowy administrator dyecezyi kieleckiej.

Kurzelów i katedralnej kieleckiej. W roku 1865 powołany na stanowisko profesora seminaryum kieleckiego, a następnie wiceregensa. Ś. p. biskup Kuliński mianuje go proboszczem parafii Mrzygłód i zarazem asesorem Konsystorza. Wkrótce zostaje kanonikiem kapituły, następnie sędzią surrogatem konsystorza i proboszczem chęcińskim. Po otworzeniu ponownem zamkniętego w roku 1893 semina-

ryum kieleckiego mianowany został w r. 1897 regensem tegoż i prałatem scholastykiem kapituły, na których stanowiskach pozostając, został 21 czerwca jednogłośnie obrany Administratorem dyecezyi.

Nowemu Zarządcy jednej z najstarszych dyecezyi w Polsce, umiłowanemu przez wiernych Pasterzowi, redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ zasyła w chwili objęcia nowych, a tak ważnych i trudnych obowiązków najserdeczniejsze życzenia: „Daj, Boże, zdrowia, daj siły do pracy nad uszczęśliwieniem powierzonej owczarni...

Patronat nad opuszczającymi więzienie. Dzięki ks. Longinowi Stańkowskiemu, proboszczowi parafii łuckiej, powstaje na Wołyniu patronat (pierwszy zorganizowano w Starokonstantynowie) nad opuszczającymi więzienie. Na zwołane do klubu szlacheckiego w Łucku zebranie przybyło 50 osób z różnych warstw społecznych. Ks. Stańkowski, przedstawiwszy krótki rys podobnych instytucyi na zachodzie Europy, zachęcał zebranych do wzięcia udziału w sprawie, która nieszczęśliwych skazańców uczynić może pożytecznymi członkami społeczeństwa. Przyjęto projekt ustawy i postanowiono przesłać ją do zatwierdzenia.

Projekt walki z katolicyzmem. Organizacye rosyjskie w Królestwie Polskiem i w Chełmszczyźnie otrzymały opracowany przez oddział „Związku narodu rosyjskiego“ w Trokach projekt walki z katolicyzmem i polonizmem. Projekt domaga się zmiany obecnych dyecezyi katolickich na Litwie i Rusi i zaleca utworzenie 3, a mianowicie: litewskiej w Wilnie, do której powinna należeć gubernia suwalska; mińskiej, dla gub mińskiej, grodzieńskiej, mohylowskiej i małoruskiej dla kraju południowo-zachodniego i dla Chełmszczyzny. Do seminaryów duchownych powinny być przyjmowane tylko osoby, uważające się za litwinów, białorusinów i małorusinów. Na godności biskupów powinni być mianowani kandydaci, pochodzący z powyżej wymienionych narodowości.

Język litewski w kościele. Czytamy w „Kuryerze Litewskim“: „Ważne rozporządzenie wydał J. E. ks. Administrator, zdążający konsekwentnie do uregulowania stosunków polsko-litewskich w Kościele: od nowego roku szkolnego w seminaryum wileńskiem wprowadzona zostaje nauka języka litewskiego, jako przedmiot obowiązujący dla wszystkich. Jednocześnie J. E. ks. Michalkiewicz postanowił, by przez czas trwania pielgrzymek do cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej i do Kalwaryi, zarówno w Ostrej Bra-

mie, jak w kościele kalwaryjskim i w katedrze wileńskiej — wygłaszano dla Litwinów, nie rozumiejących po polsku, nauki w języku litewskim. Gdyby ilość nabożnych, zbierających się na te kazania, okazała się dostateczną, J. E. ks. Administrator poleca, aby i w dalszym ciągu owe nauki litewskie w wymienionych kościołach zachować. Tak więc otrzymują z rąk mądrego Pasterza—Polaka Litwini, co im się słusznie należy. Oby to było pewnym krokiem ku tak pożądanej zgodzie."

List do Redakcyi. Szanowny księże Redaktorze! Wobec tylu klęsk, jakie nad nami wiszą — pożary już przed nadejściem lata grozą przejmują i dotąd nie przestaną nas trapić, póki nie zreformujemy dotychczasowego sposobu budownictwa wiejskiego.

Od połowy kwietnia do dnia dzisiejszego, nie licząc drobnych pożarów, spłonęły niemal doszczętnie: Brody pod Zwierzyńcem, Małoryto pod Brześciem Litewskim, Słucz pod Szczuczynem, Niedźwiedzica pod Słuckiem, Mirkulino pod Orszą, Rokitno pod Będzinem oraz kościół i kilkanaście domów w Baboszowie.

Kiedy Messyna ucierpiała od trzęsienia ziemi, składaliśmy grosze dla nieznanych poszkodowanych — a czy dla swoich nieczułymi będziemy?

Pragnąc dać początek publicznej ofiarności, niniejszym deklaruję bezpłatne wypożyczenie biednym pogorzelcom maszyn do wyrobu cegły z piasku i wapna.

Nie ograniczając się do tego doraźnego wypadku, proponuję gminom i wsiom przysłanie swych delegatów do mnie w celu bezpłatnego nauczenia się wyrobu cegły i dachówki z piasku, do czego piasek i wagon wapna, maszyny i instruktora dostarczę.

Zgłoszenia listowne adresować proszę do niżej podpisanego — Warszawa, ul. Marszałkowska Nr. 56, gdzie osobiście udzielać objaśnień będę codziennie od 1-ej do 3-ej po południu.

Z poważaniem *Leon Barwicki.*

Zakończenie roku szkolnego w Szkole Muzycznej w Częstochowie. Egzamina w Szkole Muzycznej w Częstochowie profesora L. Wawrzynowicza w tym roku wykazały nader zadawalniające rezultaty. Rada pedagogiczna, składająca się z profesorów Szkoły oraz sił pedagogicznych zaproszonych z Warszawy w osobach pp. Feliksa Starczewskiego i A. Biernackiego stwierdziła rozwój klasy organowej, oraz śpiewu liturgicznego i zasad muzyki kościelnej — pozostających pod kierownictwem dyrektora L. Wawrzynowicza i profesora



Pielgrzymka dziatwy szkolnej z Zagłębia u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.

Kolasińskiego, organisty kościoła farnego — świętego Zygmunta, z której to klasy odznaczyli się: Andrzej Łuciuk, Szymon Śławski i inni. Zarówno egzamina, jako też i publiczny popis szkoły, który się odbył w sali Lutni — dowiodły, że szkoła jest prowadzona umiejętnie i fachowo, a nauka w niej pożyteczną jest dla wychowańców, którzy oprócz wyżej wymienionych przedmiotów studyują śpiew chóralny, teoryę muzyki i harmonię, oraz naukę modulowania, tak niezbędną dla organistów. Z klasy fortepianu popisywały się trzy uczennice, które odegrały kompozycye Bacha, Chopina i innych. Z klasy instrumentów dętych p. Rosa na puzonie, p. Telacki na kornecie — obaj po złożeniu egzaminu z instrumentacyi otrzymali świadectwa na kapelmistrzów, które Rada Pedagogiczna im przyznała. Pieśń pod tytułem „Cantique de Noël“ — Adama — odegraną została na fortepianie i organach. Na zakończenie wykonanym został kwintet — najnowsza kompozycya profesora L. Wawrzynowicza na organy, fortepian, dwoje skrzypiec i wiolonczellę. Utwór ten napisany stylem poważnym, gdyż znajdują się tam kanony — zrobił duże wrażenie i podobał się bardzo.

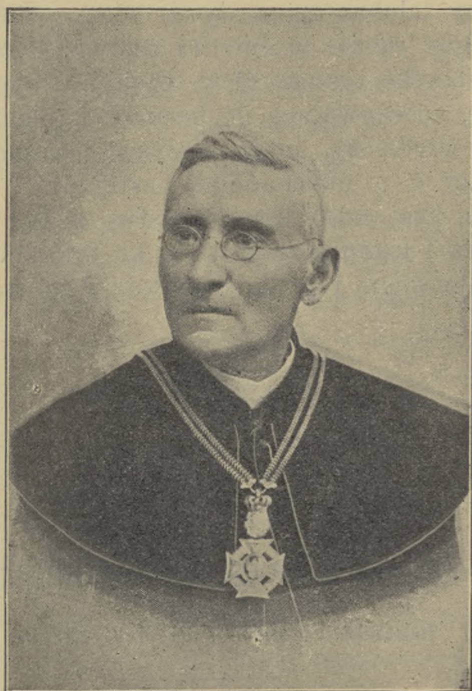
Profesor L. Wawrzynowicz jest kompozytorem wielu dzieł wydanych drukiem, jak: Mazurka fantazyjna, Réverie — Valse, Marsz tryumfalny na cześć Kordeckiego, Dwie pieśni do słów Or-Ota, 50 ćwiczeń rytmicznych, Marsz na otwarcie Wystawy w Częstochowie i wiele innych. Będąc doświadczonym muzykiem i kompozytorem, szkołę swą prowadzi wzorowo. *F. S.*

Kompania z Turobina, dyecezyi lubelskiej. Dnia 28 maja przybyła na Jasną Górę pokaźna ilość pątników z Turobina, bo przeszło 400 osób.

Gorliwy o rozwój moralny swych parafian ks. proboszcz Torczyński, zorganizował tę pielgrzymkę i pobłogosławiwszy, wyprawił w świętą podróż pod opieką wikaryusza tej parafii, ks. Piotra Stodulskiego. Zacni pielgrzymi, jak przystało na katolików, skorzystali należycie z tej życzliwości swych Pasterzy. Oczyścili się z grzechów przez sakrament Pokuty świętej, przyjęli Komunię świętą, a potem zwiedzili wszystko, co było godne widzenia w Częstochowie, w czem im niestrudzenie przewodniczył ks. Stodulski.

Pół tysiąca dziatwy z Zagłębia na Jasnej-Górze. W dniu 25 czerwca rozrzewniający widok przedstawiało podnóże Jasnej-Góry. Po skończeniu roku szkolnego i po uroczystości przyjęcia pierwszej Komunii świętej przeszło 500 dziatek ze szkółek Zagłębia przybyło do Częstochowy.

Zorganizowanie tej wycieczki jest przeważnie dziełem pani Surzyckiej, żony dyrektora kopalni „Saturn“, która jest opiekunką i dobrodziejką dziatwy górników. Nie szczędziła ta dobra pani na koszta wycieczki i zarazem sama towarzyszyła dziatwie, przenosząc trudy podróży i opiekując się malcami po macierzyńsku.



Ś. p. ksiądz Infułat Franciszek Brudzyński, administrator dyecezyi kieleckiej.

Wycieczce tej przewodniczyli księża: ks. Król, prefekt szkół i ks. Domański, wikaryusz parafii Czeladź, a także pp. nauczyciele: St. Puto, Przyłucki, Słabiak i parę pań, obywatelek z Czeladzi.

Niech Matka Najświętsza błogosławi szlachetnym opiekunom dziatwy, bo troska o dobre, moralne kierownictwo młodych umysłów i serc jest największą zasługą przed Bogiem i społeczeństwem.

Pogrzeb ś. p. ks. Infułata Franciszka Brudzyńskiego, administratora dyecezyi kieleckiej. Wszechmocny powołał do swojej chwały jednego z najzasłużeńszych dostojników Kościoła, umiłowanego przez swoje owieczki ks. Infułata Franciszka Brudzyńskiego, administratora dyecezyi kieleckiej.

Gdy dzwony żałobne zajęczały z wieżyc starożytnych kościołów kieleckich, gdy ruszył w dniu 18 czerwca kondukt pogrzebowy, tysiące serc zapłakało, tysiące głów pochyliło się ze czcią i tłumy otoczyły trumnę, spoczywającą na barkach kapłanów, szlachty, ludu siermiężnego i młodzieży, gdyż wszyscy pragnęli kolejno oddać ostatnią przysługę ś. p. ukochanemu pasterzowi.

Całe Kielce, kraj cały, duchowieństwo i lud z blizkich i dalekich okolic z czcią i łzami żegnało ś. p. ks. Infułata, w którym wszyscy czuli serce ojcowskie i powagę prawdziwego kapłana-obywatela.



Pamiętaj, abyś dzień święty święcił!

Legenda o zamku w Biesiekierkach.

W Łęczyckich stronach, koło Grabowa,
Taka się dotąd legenda chowa,
Że w Biesiekierkach, gdzie dziś ruiny,
Stał niegdyś zamek sławnej rodziny.

A w zamku mieszkał pan licznych włości,
Pan, pełen pychy i przewrotności,
Nie kochał Boga, słabą miał wiarę,
A już w rozpuście przebierał miarę.

W dzień Narodzenia Chrystusa Pana
Lud na pasterkę spieszy od rana —
A dziedzic z zamku, jak na skaranie
Zwołuje ludzi na polowanie.

Bierze psów sforę, pędzi do lasu,
A tuż mu jeleń rogaty hasa.
Dalej psy za nim puszcza ze smyczy
I już jest pewny świetnej zdobyczy.

Lecz skoro jeleń psów sforę zoczył,
Wnet jaśnie panu na głowę wskoczył,
Ani się strzelca i psów nie boi,
Jakby wrośnięty na głowie stoi.

Wnet za jeleniem psy się rzuciły,
W myśliwca ciało pazury wpiły,
Ściągnąć jelenia chcą z pańskiej głowy...
Oj, straszne wtedy były te łowy!

Pan na wpół żywy konia dosiada
I na zamkowy dziedziniec wpada,
Tam rozszalałe psy go dopadły,
Zamiast jelenia jego zajadły.

Trzy córki pańskie przed zamkiem stały,
Gdyż do kościoła już jechać miały,
Chciały cześć oddać Narodzonemu,
Dziecinie Jezus, Stwórcy swojemu.

Gdy z przerażeniem ojca ujrzały,
— Boże! zlituj się! — z jękiem wołały, —
Przebacz nam grzechy i nieprawości!
Serca im pękły wtedy z żałości.

Marnie zaginął taki ród stary,
Kiedy się pozbył swych przodków wiary.
Czyż się godziło, bezbożny panie,
Iść w takie święto na polowanie?...

Ludzie dziś gwarzą: coś pokutuje
W lochach zamkowych, skarbów pilnuje.
Każdego roku w dzień Narodzenia
Ludzie tam mają straszne widzenia.

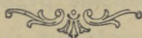
Bo gdy dwunasta w nocy uderzy,
Sowy zahuczą w zamkowej wieży,
Żelaznej bramy skrzypią zawiasy,
W ruinach zamku słychać hałasy.

Kareta pędem po moście jedzie,
Dziedzic rogaty siedzi na przedzie
I trzaska z bata, ponuro woła,
Że na Pasterkę czas do kościoła...

Lecz nie dojedzie... bo kur zapieje
I gdzieś się wszystko we mgle rozwieje.
A ludzie szepczą: — O, Wielki Boże!
Znów na Pasterkę zdążyć nie może!

Jeszcze nie zmazał grzechu swojego,
I jeździć będzie do dnia sądnego!...
My tę legendę miejmy w pamięci,
A dzień świąteczny niech każdy święci!

J. J.



Nowiny polityczne.

Mowa posła ks. Maciejewicza, wygłoszona w Dumie dnia 8 czerwca r. b. (Ciąg drugi). Witaliśmy te słowa radośnie i modliliśmy się w świątyniach naszych, kiedy spadły z wysokości tronu. Spodziewaliśmy się wtedy, że rzeczywiście zbliża się czas pokoju i miłości, że wszystko to, cośmy wycierpieli, odejdzie nareszcie w dziedzinę historyi. Tymczasem nam tutaj z trybuny Dumy państwo-

wej pasterz cerkwi obwieszcza, że „pokoju niema, nie było i nie będzie“. (O. Jaruszkiewicz z krzesła: Kto obwieszczał, kto?). Wy, ojcze Jaruszkiewiczu, wy właśnie!...

Nam mówią, że pokoju nie będzie dlatego, że Kościół katolicki jest zajęty stale propagandą, że odrywa wiernych od cerkwi panującej. (Głos z prawicy: Alboż tego niema?). Panowie, ja nie będę obalał faktu, że do Kościoła katolickiego przeszły tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy tych, którzy uważali ten Kościół dla siebie za prawdziwy, jednak myślę, że przejścia te nie były wskutek naszej propagandy, tylko wskutek tego, że ci, którzy do nas poszli, *byli nie wasi, lecz nasi*. Wielu mówców podczas tych rozpraw naszych już powiedziało, w jaki sposób politykowano u nas w kraju w ciągu lat wielu. Cytowano tu fakty i słowa. Ja dodam, co wam jest bodaj znane, przypomnę słowa wielce szanownego pasterza cerkwi rosyjskiej, który, kiedy do niego zwrócono się z prośbą, ażeby wskazał środki, jak utrzymać w prawosławiu „nawróconych“, odrzekł: „Ja ich nie nawracałem, więc nie zwracajcie się do mnie teraz po środki“.

Wobec tego nie należy się dziwić zjawiskom, że ci, którzy formalnie, mechanicznie byli przywiązani do prawosławia i cerkwi panującej, odłączyli się od was i wrócili do nas. Nie jest to propaganda, lecz zjawisko, które dojrzało i które na mocy Manifestu chciano uregulować, bo już nie możebne były stosunki wyznaniowe w kraju naszym, czas wielki był dać możność ludziom rządzić się własnem sumieniem, modlić się i wierzyć według własnych przekonań i wiary ojców i dziadów.

Czy możebna jest u nas propaganda? Proszę was, panowie, na chwilę zestawić te siły, które z dwóch stron walczą. Po jednej stronie — prawo, władza, sąd, policya, szkoły, bractwa, wydawnictwa, system donosów, urządzenia społeczne i stowarzyszenia, które łatwo są dozwalane w naszym kraju prawosławnym. Wszak wam wiadomo, panowie, najlepiej, że na kresach ludność prawosławna zawsze korzystała z przywilejów.

A z drugiej strony, co spostrzegamy?

Ludność, którą wy sami określacie, jako procent mniejszy; zwracam na to uwagę. A jeżeli tak, jeżeli my stanowimy procent na kresach nieznaczny, jak można mówić, że po naszej stronie siła, że my wszystko możemy, wtedy, kiedy na każdym kroku śledzi władza administracyjna, kiedy do kraju naszego posyłają działaczów doświadczonych, którzy doskonale znają warunki miejscowe i którym dano wskazania, jaką mają prowadzić tam politykę, ażeby

utrzymać powagę władzy, jak powinni dać nam poczuć, z kim mamy sprawę. A w tych warunkach, pytam was, czy możliwa jest propaganda? Wszak propaganda, panowie, nie jest to sztuka hypnotyzmu, za którego pomocą można do mózgów ludzkich wprowadzić dowolną sugestyę. Propaganda jest to jawne, głośne krzewienie swych przekonań, swej nauki.

Po tej uwadze należy sobie przypomnieć, że u nas nietylko w ciągu 40 lat ostatnich, owszem, od lat 70-ciu i więcej były warunki takie, że nam dla własnej owczarni w kościołach naszych nie pozwalano głosić nauk dwa razy w dzień, a w wielu miejscowościach wcale zabraniano głosić słowo Boże. Naszym kaznodziejom rozkazywano w ciągu wielu lat czytać kazania tylko z dwu książek, z autorów, których język nawet przestarzał i nie był dobrze przez ludzi rozumiany.

Nam przytaczają tutaj ks. Borodzicza i jego propagandę i jego kazania. Proces jeszcze nie skończony i p. Zamysłowskij nie ma prawa tak lekkomyślnie przytaczać wyciągu z „Wileńskiego Wiestnika“ i „Swieta“. My wiemy dobrze, że w naszych kościołach są stale obecni szpiegowie, policya, żandarmi na naszych nabożeństwach i kazaniach, a w tych warunkach, czy można myśleć o propagandzie, któraby się opierała na prawie? Myśmy pracowali latami całemi i wytężali siły, ażeby w owczarni naszej utrzymać te poglądy i te religijne uczucia i przekonania, których w szkole rządowej otrzymać nasi wierni nie mogli. Wiecie już, panowie, z poprzednich rozpraw, że w kraju naszym szkoła ludowa była i jest przeważnie cerkiewno-parafialna, wiecie też ze sprawozdań synodu, jaki jej cel w kraju naszym. A kiedy biskup Zwierowicz uroczyście zaprotestował przeciwko niej i zabronił katolikom posyłać do niej dziatwę, chociaż mu na razie kazano za to przejechać się do Tweru, to jednak władza po pewnym czasie uznała słuszność jego protestu. Zgodziła się z tem, że od dzieci naszych nie można wymagać, ażeby uczęszczały do szkoły konfesyjnej obcej. Widzicie więc, panowie, jak ciężkie były i są warunki nasze. Czyż można było myśleć o obcych, kiedy musieliśmy dbać o owczarnię własną, rozrzuconą nieraz na wiorst 40 i 50? Przytoczę tu obrazek z mego własnego żywota pasterskiego. Piętnaście lat temu otrzymałem pierwszą posadę kapłańską w Brześciu Litewskim, tuż na granicy Chełmszczyzny. Miałem wtedy jedną z trzech parafii powiatu brzeskiego, wypadało mi nieraz wędrować po wioskach moich o kilka mil od miasta, ażeby tam odszukać parafian moich. Jeżeli mogłem ich odnaleźć, moralnie na nich oddziałać, wywrzeć na nich wpływ

dodatni, byłem szczęśliwy, że spełniłem swój obowiązek. Czy mogłem wtedy myśleć o propagandzie, kiedy moi ginęli?

Chcę być w tej chwili zupełnie szczery i mówić otwarcie. Przyznaję, że nigdy nie odpychałem tych, którzy do mnie przychodzili z za Buga; nie odpychałem unitów, którzy się zjawiali do mnie z Chełmszczyzny z prośbą o pociechy religijne, którzy błagali ze łzami nieraz o Sakramenty. Uważam, że to jest powołanie i obowiązek pasterza — myśleć i pomagać owcom, gdy się do niego zwracają. Niewolno mu ich odpychać. Jednak nie myślałem wtedy o tem, ażeby komuś narzucić swą religię, szczególnie tym, którzy jej nie znają, którzy mają do niej uprzedzenie, którzy od ławy szkolnej nasłuchali się o katolicyzmie potwornych opowiadań, czem też i dziś z trybuny nas tu karmiono. Czy u tych osób uprzedzonych zjawi się kiedy ochota iść za tym pasterzem i za tą religią, która nie daje przywilejów, ani też prawa na służbę państwową? Wszak u nas w kraju każdego, kto się pokusi o posadę rządową, pytają: „jakie pańskie papiery?“ I jeżeli kandydat przedstawi metrykę z kościoła katolickiego, wręcz mu powiadają: „Ze smutkiem musimy wyznać, że pana przyjąć nie możemy, takie prawo, takie sekretne okólniki. Proszę przyjąć prawosławie, a miejsce wtedy się znajdzie.“ Wy, panowie, powiadacie, iż prawosławie tam nie apostołuje. Uznaję za rzecz możebną, że prawosławne duchowieństwo niema dokładnie zorganizowanej misyi, na każdym kroku jednak w kraju spotykamy misyonarzy w mundurach. Każdy działacz państwowy, każdy urzędnik wyższy, mający władzę w rękach własnych i wypowiadający takie zachęty do prawosławia, czem jest, jeżeli nie misyonarzem wyznania panującego? Są to, panowie, fakty nie do obalenia i posłowie z kraju naszego, którzy nam tu zawsze zaprzeczają, chyba tym razem przyznają nam słuszność. (D. c. n.)

Zdobycie Teheranu. Zdobycie stolicy Persyi—czytamy w „Głosie Warszawskim“ — przez wojska, tak zwane nacyonalistów stanowi najdonioślejszy wypadek polityczny chwili obecnej, brzemienny w nieobliczalne następstwa, zarówno dla samej Persyi, jak i dla całokształtu stosunków politycznych w Europie i po za jej granicami.

Wypadki perskie nasuwają pozornie analogię z wypadkami, jakie się niedawno rozegrały w Turcyi; tu i tam zwolennicy konstytucyi zdobywają stolicę państwa i detronizują dotychczasowego jego władcę. Tu i tam rozstrzygającym czynnikiem staje się siła zbrojna. Dodać przytem należy, że źródłem ruchu konstytucyjne-

go, zarówno w Persyi, jak i w Turcyi, było zwycięstwo Japonii nad Rosyą.

Obok tych podobieństw, zachodzą jednak i różnice.

Podczas, gdy na czele wojsk, zdobywających Konstantynopol, stali świadomi swych celów konstytucyjnych, przywódcy młodotureccy, główne siły zbrojne, które rozstrzygnęły o zwycięstwie nacyonalistów perskich, stanowią bachtiarowie, półdzikie plemię, posłuszne jedynie swym przywódcom, oddawna rywalizującym z szachami perskimi o władzę. Dlatego już teraz w Persyi rozlegają się głosy obawy, czy obecny przewrót polityczny nie skończy się na tem, że despotyzm dotychczasowego szacha zostanie zastąpiony przez despotyzm nowego wodza bachtiarów.

Drugim czynnikiem, który wyróżnia obecne wypadki w Persyi od analogicznych w Turcyi, jest interwencya mocarstw.

Przewrót turecki odbył się przy zupełnej niemal neutralności mocarstw europejskich. Jeśli nawet przedstawiciele niektórych państw intrygowali za kulisami przeciwko młodoturkom i popierali dążenia Abdul-Hamida, to jednak nazewnątrz wszystkie państwa oświadczyły się przychylnie za przewrotem wolnościowym w Turcyi, ani noga obcego żołnierza nie postała na terytoryum Turcyi podczas całego okresu dokonywujących się przemian politycznych. Inaczej rzecz przedstawia się w Persyi: w chwili, gdy nacyonaliści perscy wraz z bachtiarami zdobywają Teheran, wojska rosyjskie znajdują się o 140 kilometrów od tego miasta, a rosyjska prasa nacyonalistyczna nawołuje rząd, ażeby posunął te wojska na pomoc zdetronizowanemu szachowi. Równocześnie wojska tureckie posuwają się w głąb okręgu perskiego Urmii i niewiadomo dotychczas napewno, jakie zamiary żywi rząd turecki względem Persyi. Jedno jest pewnem, że Turcya nie życzyłaby sobie pozostawić wolną rękę Rosyi.

Obecność wojsk rosyjskich w Persyi ma zapewnić spokój cudzoziemcom. Anglia jest obecnie w sytuacyi takiej, że, pragnąc nie narażać przyszłości stosunków swych z Rosyą, nie zdobędzie się zapewne na przeciwdziałanie zaborczym planom Rosyi. W ostateczności, zgodzi się zapewne na podział Persyi. Stałemu uplacowaniu się Rosyi w Persyi przeszkadzać będzie, w miarę sił i możności, Turcya, dla której bezpośrednie sąsiedztwo Rosyi z jej posiadłościami azyatyckiemi stanowiłoby zbyt wielke niebezpieczeństwo. Niemcy nie zabierają dotychczas głosu o wypadkach w Persyi, zasłaniając się tem, że nie posiadają tam bezpośrednich interesów. Niewątpliwie jednak, w momencie decydującym i Niemcy zechcą zapewne

wypowiedzieć swoje ważkie słowo, kto wie nawet, czy nie odegrają roli decydującej.

Co ciekawsze jest jednak, wypadkami w Persyi interesuje się podobno żywo — Japonia.

Nowy ten członek wszechświatowego koncertu politycznego zainteresowany jest w tem, ażeby nie dopuścić do wzrostu potęgi Rosyi. Dochodzą tedy wieści o koncentracyi 200-tysięcznej armii japońskiej w Mandżuryi, jako o akcyi równoległej do posuwania się wojsk rosyjskich w głąb Persyi. Japonii chodziłoby w danym razie nietylko o jej bezpośredni stosunek do Rosyi, ale i o otoczenie się wśród ludów azyatyckich nowym urokiem — obrońcy niepodległości państw azyatyckich przeciwko inwazyi europejczyków.

Dokoła wypadków w Persyi wytwarza się tedy ruch, który w orbitę swą wciąga interesy nietylko wszystkich niemal państw europejskich, ale i najważniejszego czynnika politycznego w Azyi—Japonii. Stąd wielka tych wypadków doniosłość.

Żarty, żarciki, anegdoty.

Wykręty.

Przed karczmą deszcz lał na konie podróżnego, ten mówi do arendarza:

— Żydzie, czemu nie dasz naprawić dachu?

— No, jakże naprawić, kiedy deszcz pada?

— To go napraw, jak będzie pogoda.

Żyd na to:

— Na cóż dach naprawiać, kiedy będzie pogoda, wtenczas niepotrzeba.

Amator.

Przyszedł jeden do restauratora, lecz bez pieniędzy. Pyta się:

— Co jest jeść?

Mówią, że jest kapłon z sosem.

— Co kosztuje kapłon?

— Rubla.

— A sos ile?
— Nic nie kosztuje.
— To proszę sosu.

W szkółce.

— Powiedz mi Gapski, czy znasz jakie ptaki drapieżne?
— A znam.
— Naprzykład?
— Kura.
— Któż ci powiedział, że to drapieżny ptak?
— No, bo ona ciągle w śmieciach drapie.

Sprytny.

— Czy to, proszę mamy, ludożercy naprawdę jadają ludzi?
— Podobno.
— A czy mnie ludożercaby zjadł?
— Ach, moje dziecko! — może...
— To niech mama kupi ludożercę na jutro na obiad.
— Po co?
— Bo jak my go pierwej zjemy, to on nie zje nas potem...

I tak źle i tak nie dobrze.

— Cóż, sprzedałeś pan dużo swoich obrazów?
— Ani jednego, bo ci, co mają pieniądze, nie chcą wcale kupować, a ci, którzyby chętnie kupowali — nie mają pieniędzy.

O sołtysie, którego syn studyował łacinę.

Sołtys jeden nakładał na syna w Krakowie nie mało pieniędzy, ale napróżno je wydawał, bo p. student więcej, gdzie szklankami dzwonią, przeleżał, aniżeli w szkole. Gdy mu pieniędzy zabrakło, powędrował do ojca, żeby mu dał pieniędzy. Nie bardzo się ojcu chciało, tembardziej, że już nie mało się nań wykosztował. Pewnego razu kładł ojciec gnój na wóz, a synaczek dziwował się, we drzwiach stojąc. Zawołał go ojciec i pyta:

— Synu, jak po łacinie widły?

Syn odrzecze:

— Widlatus.
— A gnój jak? — pyta się dalej ojciec.
— Gnojatus — odpowiada syn.
— No, dobrze — rzecze ojciec, a wóz jak się po łacinie nazywa?
— Wozatus — tłómaczy znów syn.

Rozgniewało to ojca i zawołał:

— Ha, toś ty takiej łaciny tylko za szkołą mógł się nauczyć. A kiedyś taki mądry, to weźże teraz w rękatus widlatus, nakładajże gnojatus na wozatus, już ja więcej pieniędzy na twą naukę łożyć nie będę, teraz weźmiesz się do pracy i zamienisz piórkatus na widlatus!

Oszukany.

Podróżny, idący piechotą, spotkał po drodze żyda i mówi do niego:

— Pożycz mi rubla, dam ci na zastaw mój płaszcz, jeżeli ci dzisiaj pieniędzy nie oddam.

Żyd pod tym warunkiem pożycza rubla i bierze płaszcz na zastaw.

Przy końcu dnia, gdy dochodzą obadwaj do miasta, podróżny oddaje żydowi rubla i płaszcz swój odbiera, mówiąc:

— Dobrze, żeś mi ten płaszcz aż tu przyniósł, bo mi go ciężko było dźwigać!

Oszukano żydka, ale to może po raz pierwszy.

Jaki ma być żart.

Nie skłamać, a żartować co, byle foremnie,
W przystojnem posiedzeniu, pozwolę choć ze mnie.
Acz-ci i prawda, jeśli uczciwemu szkodzi,
Na złorzeczenie poszła — w żartach nie uchodzi.
Możesz co kształtnie przydać dla rzeczy koloru:
— Sławy nie tykaj, nie tykaj honoru.
Szkaluje, nie żartuje, kto mię tak potwarza,
I słusznie mam takiego za błazna, za łgarza.

Z „Ogrodu Fraszek“ Wacława z Potoka Potockiego.

Omyłka białogłowska w łacinie.

Przyjechawszy do grodu jedna pani wdowa
Pewny zapis tamtemu regentowi poda,
Napisawszy, jako rzecz w księgach przyzwoita,
Po łacinie go regent wdowie owej czyta.
Słysząc ta kilka razy w zapisie: *post fata* —
— Minął—rzecze mięsopust, nie trzeba nam swata.
Nie tom kazała pisać, pisz waszmość inaczej.
Aż jej to z wielką biedą regent wytłómaczy,

Że u nas fatum — śmiercią. Kwituje z ochoty:
— Schowajcie się z tym swatem do inszej w zaloty!

Wacław Potocki.

Na co mu zegarek.

— Matulu, kupcie mi zegarek.

— A na co ci to?

— Ażebym dokumentnie wiedział, kiej mi się chce jeść i spać.

Trzy szklanki — telegrafu.

Do biura telegraficznego wchodzi trzech podpiłych włościan. Jeden z nich woła:

— Proszę trzy gorzałki.

— Tu niema gorzałki. Tu jest telegraf! — mówi oburzony urzędnik.

— No, to proszę trzy szklanki telegrafu...

* * *

Sędzia: Więc pan uciekłeś do Afryki, a tu zostawiłeś tyle długów?

Obwiniony: Panie sędzio! przecież nie mogłem ich wziąć ze sobą!

Okropność.

Melancholik przed sklepem rzeźnickim: „Mój Boże! Wczoraj jeszcze te kiszki były w wieprzach, a dziś... już wieprze są w tych kiszkach.



Odpowiedzi od Redakcyi.

W. P. Józefowicz w Gn. 5 rubli odebraliśmy — do końca roku bieżącego rachunek będzie wynosił 7 rb. 30 kop. Dziękujemy za życzliwość.

W. P. I. Bonik. w Mil. Przesyłka premium wynosi 30 kop. Wdzięczni jesteśmy za dobre słowo.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego" upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski".

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego", Częstochowa, pod Jasną Górą.

Redaktor i Właściciel ks. **JÓZEF ADAMCZYK.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.